



x. Stanisław Dzyr¹
(Adamów)

Stefan Kozak „Dawidy na szlaku bojowym”

Stefan Kozak "Dawidy on the combat trail"

Abstract

Memoirs of Stefan Kozak, an inhabitant of the village of Dawidy, now in the Parczew powiat, describing the independence of the underground activity of the inhabitants of this town during the German and Soviet occupation in 1939-1948. The memoirs were edited and prepared for printing by the Catholic priest Stanisław Dzyr from the village of Dawidy.

Keywords: AK, Home Army, Dawidy, Germany, occupation, Soviets, Stanisław Dzyr, Stefan Kozak, memoirs, Radzyń Podlaski, Parczew, Włodawa, WiN, Freedom and Independence Association

Streszczenie

Wspomnienia Stefana Kozaka mieszkańca wsi Dawidy, obecnie w powiecie parczewskim, opisujące niepodległościową działalność konspiracyjną mieszkańców tej miejscowości w okresie okupacji niemieckiej i sowieckiej w latach 1939-1948. Wspomnienia zostały zredagowane i przygotowane do druku przez księdza katolickiego Stanisława Dzyra pochodzącego ze wsi Dawidy.

Słowa kluczowe: AK, Armia Krajowa, Dawidy, Niemcy, okupacja, Sowietci, Stanisław Dzyr, Stefan Kozak, wspomnienia, Radzyń, Parczew, Włodawa, WiN, Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość

¹ Ksiądz rzymskokatolicki, historyk, regionalista. Ur. 25 listopada 1932 r. we wsi Dawidy, w parafii Gęś. Lata dziecięce spędził w rodzinnym domu. Naukę w szkole powszechnej odbył w Dawidach i Jabłoni, następnie uczęszczał do Pierwszego Gimnazjum i Liceum im. Józefa Ignacego Kraszewskiego w Białej Podlaskiej. Po otrzymaniu świadectwa dojrzałości w 1952 r. wstąpił do Wyższego Seminarium Duchownego im. Papieża Benedykta XV w Siedlcach. Ze względu na brak miejsc w gmachu seminaryjnym w Siedlcach, pierwsze dwa lata studiów filozofii chrześcijańskiej odbył w Drohiczyźnie. Studia teologiczne w latach 1954–1958 odbył w seminarium w Siedlcach. Święcenia kapłańskie otrzymał 29 czerwca 1958 r. w katedrze siedleckiej z rąk Jego Ekscelencji Księdza Biskupa dr Ignacego Świrskiego, Ordynariusza Diecezji Siedleckiej czyli Podlaskiej. Jako wikariusz pracował w parafiach: Zbuczyn (1958–1959), Mokobody (1959–1960), Komarówka Podlaska (1960–1962), Okrzeja (1962–1964), Miedzna (1964–1966), Korytnica Łaskarszewska (1966–1968), Stężycza (1968–1971). W 1 września 1971 został mianowany proboszczem parafii Gródek nad Bugiem w dekanacie sokołowskim, gdzie sprawował posługę do 6 września 1977. Następnie sprawował probostwo w parafiach Lubień (1977–1988) oraz Adamów (1988–2003). Po ukończeniu 70 lat przeniesiony na kapłańską emeryturę, zamieszkuje w budynku parafialnym w Adamowie. Autor opracowań: *Parafia Adamów i jej Duszpasterze* (2008; współautor Tadeusz Osiński, *Poszliśmy*, Kapelan Jego Świątobliwości (2017). Źródło: *Jubileusz Księdza Prałata Stanisława Dzyra*, <https://www.adamow.home.pl/parafia/jubileusz-ksiedza-pralata-stanislaw-dzyra/> (dostęp: 10.07.2021). Redakcję wspomnień Stefana Kozaka x. Stanisław Dzyr ukończył 6 listopada 2011 r. – przyp. redakcji.

Wszyscy lubimy wspomnienia. Ze szczególnym rozrzewnieniem patrzymy na dziecko i sami powracamy do wspomnień w świat własnego dzieciństwa, kiedy mieliśmy jeszcze przed sobą całe życie. Czekaliśmy niecierpliwie na to, co miało nadejść, widzieliśmy to w najpiękniejszych barwach i wtedy zdawało się nam, że czekają nas same uroki, jak w opowiadanych nam wówczas bajkach. Tymczasem okazało się, że życie składa się z innego tworzywa, że o wszystko trzeba walczyć i zdobywać wysiłkiem umysłu i obu rąk, ale to także stało się źródłem najładniejszego piękna. A te wspomnienia snujemy nie tylko z wydarzeń własnego życia, ale i z wydarzeń, które inni przeżyli. To też ma urok, coś co zgłębiamy.

Wydarzenia opowiadane ustnie trwają zazwyczaj tak długo, dopóki żyją Ci, którzy to znali, lub dopóki żyją Ci, którzy je słyszeli. Potem już wiedzą o nich już coraz mniej i nie poznają tego następne pokolenia. Wszystko jakoś, choćby powoli, ale odchodzi w niepamięć, pozostają dłużej zapisane na pamiątkowych kartach, bo czasami nawet przez wieki. Jakże bylibyśmy w Dawidach usatysfakcjonowani, gdyby mogły poprzednie pokolenia nam przekazać. Pisma nie były praktykowane, ludzie byli niekompetentni, a do tego tak burzliwe dzieje, ziemia nasza zdeptana przez wrogów, palone domy, przyczyniły się do większego zubożenia historii.

Dlatego z wielką radością i z poczuciem wdzięczności przedstawiam wspomnienia Stefana Kozaka, mieszkańca Dawidów, świadka walczącego podziemia podczas obu okupacji.

Ochotnie i spiesznie zająłem się przepisaniem i z konieczności przeredagowaniem zapisków odnośnie szyku i stylu, czasami dodając wyjaśnienia i szersze omówienia z ustnych przekazów autora zacnego, przy którym z konieczności po pożarze Dawidów w 1947 r. zamieszkiwałem i od którego otrzymałem wiele wiadomości i rad na drogę życia.

Stefan Kozak, autor niniejszych wspomnień, był rodowitym mieszkańcem wsi Dawidy. Urodził się w Dawidach w 1921 r. jako syn Piotra (1885–1923) i Marianny z Szyszków (1891–1978). Wychował się w Dawidach w okresie międzywojennym w atmosferze religijno-patriotycznej. Ojciec odumarał go wcześniej (1923 r.), kiedy miał dwa lata. Dalszym wychowaniem zajmowała się matka, ze starszymi swymi córkami, prowadziła przez 9 lat spore gospodarstwo rolne, aż do przyjęcia za zięcia do najstarszej córki Marianny mojego chrzestnego Franciszka Bieleckiego. Brat jego ojca Jan Kozak (1901–1979) przyjął w 1926 r. święcenia kapłańskie, był proboszczem parafii Wojśławice i Frampol w diecezji lubelskiej, więziony przez niemieckiego okupanta przez 5 lat w obozie koncentracyjnym w Dachau (napisał wspomnienia z czasów obozowych, przechowywane są w rękopisie maszynowym). Już od dzieciństwa wsłuchiwał się w opowiadania starszych mieszkańców dawidowskich oraz swej rodziny o prześladowaniach unitów, obronie wiary i sytuacji kraju oraz przeżyć domowników. Nauki szkolne pobierał w Dawidach w Szkole Powszechnej I-go stopnia (według programu międzywojennego siedmioletnia czteroklasowa – klasa I jeden rok, klasa II jeden rok, klasa trzecia dwuletnia: kurs A i kurs B, klasa czwarta trzyletnia: kurs A, kurs B i kurs C). Po ukończeniu nauki szkolnej przysposabiał się do samodzielnego prowadzenia gospodarki rolnej, jednocześnie, jak jego szwagrowie Franciszek

Bielecki i Józef Gomółka, angażował się w organizowanie Spółdzielni Chrześcijańskiej w Dawidach oraz w szeregach Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej, prowadzonego przez proboszcza parafii Gęś. Już jako dorosły chłopiec był wraz z kolegami zaangażowany w partyzancką walkę z niemieckim okupantem (tego dotyczą głównie dalsze jego osobiste wspomnienia). Poniósł tego bolesne konsekwencje po wkroczeniu Sowie-
tów. W 1950 zawarł związek małżeński z Janiną Jaroć z Woronia wychowując 5-cioro potomstwa, które po ukończeniu studiów pracuje na wyższych stanowiskach. Po odejściu na rolniczą emeryturę nadal zamieszkiwał w rodzinnym domu w Dawidach. Tutaj w Dawidach spisał swe wspomnienia, które redagując zatytułowałem „Dawidy na szlaku bojowym”, bo i takie były dzieje mieszkańców naszej wioski i zacnego ziomka Stefana Kozaka.



Dawidy na szlaku bojowym

I. W dawnych Dawidach

Wioska Dawidy położona jest przy drodze traktowej, łączącej Włodawę z Radzyniem, to dwa powiatowe miasta, które niegdyś szczególnie dotyczyły naszej wioski Jako jednostki administracyjne. Obecnie ta droga jest szosą pokrytą asfaltem, a wioska rozbudowała się i przecina ją od strony północnej na południe.

Ludność zamieszkująca naszą wioskę była jednolita tak ze strony religijnej, jak i z narodowej. W dawnych czasach byli oni wyznania greko-katolickiego. Nazywano ich unitami (według dawnej mowy miejscowej – uniaty). Za rządów zaborczych znieśli prześladowania ze strony Moskali. O tych prześladowaniach opowiadali nam starsi ludzie, którzy żyli jeszcze za naszego dzieciństwa i my w tej dawnej tradycji wychowaliśmy się. Zawsze z szacunkiem podkreślali, że nikt w tych smutnych czasach nie poddał się, nie przyjął prawosławia, nie poszedł modlić się do ich cerkwi, wszyscy wytrwali przy swej unickiej wierze. Opowiadał mi o tych czasach Szwaj Antoni (1863-1942), mieszkający w sąsiedztwie, a szczególnie moja babka Eufemia (matka mojej mamy), pochodząca z rodziny Chwałczuków, urodzona w 1862 r., zmarła w 1953 r., która była najpierw zamężna za Michałem Szyszką, a po jego tragicznej śmierci za Łukaszem Sidorcukiem. Bardzo dobrze pamiętała ona te czasy, bo do Pierwszej Komunii św. przystępowała w Gęsi, kiedy unia nie była jeszcze prześladowana. A najpierw rozpoczęło się od tego, że zabronili im odmawiania różańca w kościele unickim. Potem zabrali Moskale organy z kościołów, a księży, którzy im nie poddali się (nie przyjęli prawosławia, czyli nie poszli na popów), wywieźli ich, niektórych na Sybir. Wiernych zaś zaczęli siłą gnać do cerkwi. Dzieci w tym czasie urodzone nakazano chrzczyć w cerkwi prawosławnej przez popów, którzy tutaj przybyli w miejsce księży wygnanych. Do wsi przyjechało dużo wojska carskiego tak zwanych kozaków, którzy na mieszkańców nakładali duże kontrybucje, bili nahajkami rodziców, którym urodziło się dziecko, aby nieśli do chrztu do cerkwi. Na opornych nakładali wysokie kary, zabierali paszę dla swoich koni, zabierali ludziom krowy i woły. Opowiadał Szwaj Antoni, że wołom roboczym odcinali nogi, nakazując, ażeby gospodarz przyglądał się jak męczy się jego zwierzę.

Do naszej wsi przyjeżdżali wówczas misjonarze z Krakowa i Przemyśla, aby pełnić prześladowanym unitom posługę religijną. Spowiadali ludzi starszych, udzielali chrztu dzieciom i ślubów narzeczoną. Zmarłych grzebali ludzie sami w ten sposób, że schodzili się na modlitwy do domu zmarłego, a w nocy wieźli na cmentarz do Gęsi. Dużo też opowiadali ludzi o braniu ślubów w lesie, w stodole Kornela Deneki. Inni wyjeżdżali do ślubu za granicę, to jest do Galicji, która była pod zaborem austriackim. Na pograniczu mieli

znajomych koło Zamościa. Wspominali wieś Zezulin, skąd przewodnicy przeprowadzali przez granicę. Kto miał znajomych łacinników (księży rzymsko-katolickich), to korzystając z ich odwagi i poświęcenia brał ślub.

Kiedy carscy Kozacy wszystko ze wsi pozbiali z żywności i paszy, a ludzi nie przemogli, to wojsko ze wsi wyjeżdżało. Pomimo że później terror był mniejszy, to jednak prześladowanie nie ustawało. Ludzie nadal musieli dzieci chrzcić potajemnie i w ten sposób brali śluby.

Najgorszy problem był wtedy, gdy ktoś ożenił się w drugiej gminie, bo nie mógł w swojej gminie zameldować żony i dzieci. Wtedy władze carskie nakładały duże kary, a nawet wsadzały do aresztu. Moja babka, Barbara z Wertejuków, matka mego ojca Piotra Kozaka, pochodziła z Czeberak, gmina Milanów. Nie uznano jej ślubu, była w areszcie w Białej Podlaskiej, a ich dzieci były uznawane za nieślubne. Gdy zmarł tragicznie mój dziadek Michał Szyszko, pierwszy mąż wspomnianej wyżej Eufemii z Chwalczuków (został przywalony przez warstwy gliny, bo wtedy jeździli do Tyśmienicy, ażeby zgromadzić jej zapas do bielienia domów mieszkalnych, na dużej głębokości obsunęła się ściana i poniósł on śmierć na miejscu), po tym wydarzeniu z 1895 r. zostały dwie córki – moja mama Marianna i Katarzyna. Wtedy rodzina dziadka Michała wykorzystała okazję, że dzieci były zapisane tylko na babkę Eufemię, wnieśli sprawę do sądu, aby zabrać majątek po zmarłym dziadku Michale Szyszce, bo prawnie nie miał żony, ani dzieci (były częste takie powikłania majątkowe przy głodzie ziemi, która była źródłem utrzymania). Przez 6 lat ciotki Januszki z Jabłonia sądowały się o zabranie majątku. Gdy adwokat zorientował się, że już babcia Eufemia nie ma pieniędzy na opłaty, że zabrał ostatnie prosię, porozumiał się z księdzem z Radzyna Podlaskiego, bo tam babka Eufemia z dziadkiem Michałem Szyszko brała ślub po kryjomu w zakrystii, postarał się o metrykę ślubną z Krakowa. Pomimo, że ślub był brany potajemnie tutaj, to ksiądz dla bezpieczeństwa postarał się o metrykę zagraniczną z tak zwanych ślubów krakowskich. Wtedy adwokat dostarczył metrykę sędziemu, który na jej podstawie odczytał wyrok, że po zmarłym Michale Szyszko zostały dwie córki (córki): Maryna i Katarzyna, i sprawa została szczęśliwie zakończona. Majątek otrzymały dzieci Michała.

Carska policja (strażnicy) jeździli po wsiach śledzić, czy oporni unicy nie stawiają krzyży katolickich. Mój dziadek Stefan Kozak był sołtysem w Dawidach. Wówczas przyjechali strażnicy do sołtyśsa z poleceniem, aby pilnował mieszkańców, żeby nie postawili krzyża. Dziadek obiecał im współpracę, że będzie nad tym czuwał, i zaprosił do stołu na poczęstunek. Tak uraczył ich dobrą wódką, że posnęli. Dziadek szybko zwerbował ludzi do stawiania krzyży. Ludzie przez tę noc spokojnie postawili trzy krzyże jeden na Kurniku, drugi pod Olszyną, trzeci nad Mogiłą Drogą. Rano, gdy się pobudzili, dziadek wyszedł na drogę zobaczyć, co się dzieje, zaraz powraca do nich i mówi im, że myśmy tu spali, a ludzie postawili trzy chresty (3 krzyże), dopilnowali, że myśmy tak twardo spali. Gdy krzyż był postawiony, to już nie usuwali. Chodziło tylko o to, aby nie zastali przy tej robocie, bo nie wiedzieli kogo ukarać. W takiej sytuacji bili nahajkami i nakładali wysokie kary.

We wsi była bieda i niedostatek, szerzyły się choroby. W XIX wieku wybuchały epidemie cholery. Ludzie wtedy umierali masowo, tak, że nie mogli grzebać nawet na cmentarzu parafialnym, bo trzeba było się spieszyć, aby inni się nie zarazili. Taki nieraz był nakaz władz carskich, a podczas prześladowań starano się omijać strażników i czuwającego w Gęsi popa (baciuszki). Wówczas chowali w Dawidach. Mieszkańcy założyli cmentarz za gościńcem traktowym na wzgórzu przy drodze, która prowadziła do Polubicz. Owa droga została przez miejscowe społeczeństwo nazywana Drogą Mogilną. Tamtędy pędzono krowy do Koniucha, jeżdżono na Praborek. Droga została zlikwidowana w czasie scalenia gruntów w 1942 r.

W roku 1882 Dawidy nawiedziła nowa klęska. We wsi wybuchł straszliwy pożar. Było to w czasie żniw, gdy ludzie byli w polu przy zbiorach. Była susza, a na wsiach tutejszych nie było jeszcze straży pożarnych. Spłonęła doszczętnie cała wieś. Przyczyną pożaru była lekkomyślność jednej kobiety, która piekła chleb i żar wyrzuciła przy budynkach. Było tam pełno śmieci i pożar szybko się rozprzestrzenił.

Po powstaniu styczniowym zarządził car pobór do wojska na 25 lat i mego dziadka Stefana Kozaka (1859-1919) wujek został wcielony na 25 lat do carskiej armii. Do domu już nie powrócił, jego żoną Natalią opiekował się mój dziadek. Inni mieszkańcy także służyli w carskim wojsku, a gdy powrócili, to już rodzina bliska nie mogła ich poznać po tak długim czasie służby.

Na wsi panował wówczas analfabetyzm, mało kto umiał czytać i pisać. Światlejsi ludzie zaczęli myśleć o tajnym zorganizowaniu nauki dla młodego pokolenia dawidowców. Sprowadzili nauczyciela, nazywał się Deryło. Pochodził z Gęsi. Potajemnie schodzili się dzieci po domach. Uczył dziewczęta tylko czytać a chłopców również pisać. Ktoś starszy wtedy pilnował, czy nie nadjeżdżają strażnicy. Gdy ktoś zauważył, że nadjeżdżają, to wszyscy uciekali. Pewnego razu przybyli do domu, gdzie uczyły się dzieci. Gospodyni tego domu wygarnęła żar z pieca, bo miała w napalonym piecu piec chleb. Trzymała w rękach pomioło (miotła do oczyszczania dnia pieca) i ostro zaczyna krzyczeć, po co oni tu przyszli bez sołtysa. A było wtedy takie prawo, że nikt nie miał prawa wejść do domu. „Gdzie Soćko?” i podeszła do nich z pomiołem. „Bez Soćki nie macie prawa przyjść!”. W tym zamieszaniu dzieci uciekły drugimi drzwiami. Zamożniejsi gospodarze wysyłali dzieci do Gęsi do ruskiej szkoły, ale była to szkoła płatna.

Gdy się trochę rozluźniło, a zaborca moskiewski zajęty był konfliktami zewnętrznymi i nie było takiego rygoru w czasie wojny tureckiej, a potem japońskiej, to ludziom lepiej się żyło. Jeszcze przed ukazem tolerancyjnym zorganizowali księża misje w lesie za Kolembradami. Okoliczna ludność była powiadomiona, w nocy spieszyli do lasu. Wszędzie były porozstawiane warty czuwające, czy nie nadchodził większy oddział carskiego wojska. Tam głosili księża kazania, spowiadali, udzielali dzieciom chrztu, ślubów parom małżeńskim. Nie było żadnej wpadki i wszystko udało się.

W roku 1905 car zajęty wojną z Japonią (w której poniósł klęskę) i rozruchami wewnętrznymi w Cesarstwie Rosyjskim i Królestwie Polskim, ogłosił tolerancję religijną. Skończyło się prześladowanie unitów i ucisk. U nas wszyscy unicy zgłosili się do Kościoła

rzymskokatolickiego (nie mogli powrócić do unii, bo została w 1876 r. zniesiona, przez 30 lat opierali się prawosławiu i chociaż car wydając rozkaz tolerancyjny spodziewał się, że ze względu na język łaćński nie przyjmą wyznania katolickiego, to zawiódł się tym razem, bo jednocześnie było to opowiedzenie się za polskością tych, którzy intensywnie byli rusyfikowani). Dawidy zostały przyjęte do parafii w Komarówce Podlaskiej. Byli unicy, urodzeni przed 1876 r., zostali wpisani do Liber Conversorum (księgi nawróconych na katolicyzm, bo byli przez rząd uważani za prawosławnych), urodzeni po 1873 r. zostali wpisani do parafialnych metryk, bo byli potajemnie ochrzczeni, a żadnych metryk nie posiadali.

Podobnie wpisano do metryk ślubnych tych małżonków, którzy potajemnie zawarli związki małżeńskie. Były to jednocześnie księgi stanu cywilnego. Już w następnym 1906 r. zaczęli myśleć o utworzeniu parafii w Gęsi z dawnymi wioskami, które należały za czasów unickich. Postawili w Gęsi drewnianą kaplicę (bo rząd carski nie zwrócił im dawnego kościoła unickiego, mieli go nadać prawosławni). Otrzymali z Kurii Diecezjalnej w Lublinie pozwolenie na otwarcie parafii. Jesienią przyjechał młody ksiądz Jan Markowski. Założyli w 1908 r. cmentarz grzebalny, ale rząd carski nie zezwolił na budowę kościoła parafialnego, lecz filialny, który by należał do parafii w Parczewie, a wreszcie zamknął kaplicę i usunął księdza Jana Markowskiego z Gęsi, chociaż materiały były nagromadzone. W uzyskaniu właściwego pozwolenia starania czynił książę Seweryn Czetwertyński, który należał do carskiej Dumy. Czetwertyńscy, dali pole (plac) pod budowę kościoła i na cmentarz grzebalny. Formalnym właścicielem tej posiadłości był książę Włodzimierz Czetwertyński, brat Seweryna, syn Włodzimierza Czetwertyńskiego (starszego) i Marii z Uruskich. Cegły na budowę kościoła również dostarczyli Czetwertyńscy, ludzie użyczyli siły roboczej i pokrywali resztę kosztów. Do parafii należała Gęś, Dawidy, Rudzieniec i Łubno. Gdy rozpoczęła się wstępnie robota, to znaczy kopanie fundamentów, to do ich kopania w 1912 r. zeszło się tyle ludzi, że za popołudnie wykopali ziemię pod cały fundament i tak było dużo, że nie pomieścili się wszyscy naraz, musieli kopać na zmiany. Budowę kościoła prowadził następny ksiądz Marcin Nowicki. Budowa trwała od 1912 r. (poświęcony kamień węgielny i ukończona w murach) do roku 1913, kiedy kościół poświęcono.

W 1914 r. wybuchła wojna wszechświatowa (później nazwana pierwszą wojną światową). Car rosyjski Mikołaj II miał silną armię i liczył na zwycięstwo, odniósł sukcesy na frontach, gdy jedna armia poszła w Karpaty na front austriacki, a druga na froncie niemieckim zajęła Prusy. Ale w roku 1915 sytuacja się odmieniła. Niemcy i Austriacy przystąpili do ofensywy. Front szybko zbliżał się w nasze strony. Rosjanie wznosili fortyfikacje około Brusa i Pieszowoli, aby powstrzymać Austriaków. Również i z Dawidów musieli stawić się ludzie do budowania umocnień obronnych. Pracowali tam po kilka tygodni, wrócili gdy front był blisko. W nocy było widać łuny pożarów, ludzi ogarnęła trwoga. Ci, którzy mieli rodziny w głębi Rosji, wyjeżdżali tam przed nadejściem frontu. W większości wyjeżdżali Ci, którzy przeszli na prawosławie wraz ze swoimi duchownymi (popami). Również wyjechał pop z Gęsi, pozostawił opuszczoną cerkiew, dawny kościół unicki. Ludność zaczęła robić zapasy żywności i odzieży, co zakopywano do ziemi, bo gdy na powierzchni wszystko spłonie, to tym będzie można przeżyć zimę. W lesie Praborek robili schrony.

Jeden schron zorganizował mój dziadek z moim ojcem na swojej działce, a drugi na działce Szypulskich (zwanych Weliczka). Gdy wojska rosyjskie cofały się, ludzie z Dawidów opuścili wieś i wyjechali na Praborek. Zabrali ze sobą inwentarz: konie, wozy, bydło, świnie i najpotrzebniejszy sprzęt codziennego użytku. Rosjanie okopali się przed szosą idącą do Polubicz i front zatrzymał się na trzy dni. Rosjanie wycofując się z Dawidów podpalili całą wieś, która wówczas była mocno zagęszczona i pożar szybko się rozszerzał. Zostało tylko po kilka gospodarstw na obrzeżach wioski. Na łąkach paliły się stogi z sianem wokół Praborka. Dym dusił ludzi będących na Praborku, bo wokół były pożary. Kobiety i dzieci spędzali ten czas w okopach modląc się, a mężczyźni pilnowali swego dobytku w lesie. Moja rodzina miała wtedy jeszcze jedną tragedię. Moja mama wiozła na Praborek małą sześciomiesięczną córeczkę Anielcię trzymając ją na rękach. Ta moja siostrzyczka była wtedy bardzo chora i w drodze na Praborek zmarła. Była również obłożnie chora moja babka Barbara Kozak, matka mego ojca, wymagająca stałej opieki. Na Praborku był wówczas ksiądz Gaska z Jabłonia, pokropił zmarłą siostrzyczkę, a w nocy ojciec ze stryjem Antonim Kozakiem zanieśli na cmentarz w Gęsi, zrobiwszy trumienkę pogrzebali.

Ludzie przez trzy dni byli w lesie Praborek w wielkiej trwodze, gdyż nad głowami przelatywały pociski artyleryjskie niemieckie i rosyjskie. Kilka pocisków spadło nawet na łąkach wokół Praborka. W dniu 15 sierpnia, w święto Wniebowzięcia Matki Boskiej, bardzo ufnie w orędownictwo Matki Bożej wznosili modlitwy do nieba, aby Matka Boża Wniebowzięta ochroniła swoim płaszczem całą Praborek. Żaden pocisk nie spadł na las i nikt nie zginął. Po trzech dniach Rosjanie wycofali się dalej, a wkroczyły wojska niemieckie i austriackie. Ludzie powrócili z Praborka do swoich zgliszcz. Sterczały tylko kominy. W domach, które ocalały przed pożarem zakwaterowało się po kilka rodzin, reszta wznosiła tymczasowe szałas, aby można było gdzieś schronić głowy. Niemcy rekwirowali to, co nie zostało spalone. Owies był jeszcze na polu, a nawet niektórzy nie zdążyli go skosić. Co ocalało na polu pozwożono w sterty, ale Niemcy przyjeżdżali i zabierali te sterty z owsa. Mój ojciec z dziadkiem złożyli sterty z owsa, a Niemcy wkrótce przyjechali i całą stertę zabrali, tak iż nie było paszy dla inwentarza. Siano Rosjanie spalili w stogach i stodołach, owies zarekwirowali Niemcy. Takie były skutki frontu w Dawidach.

Na wojnie było kilkunastu mężczyzn z Dawidów, zwerbowanych przez Rosjan podczas poboru. Byli to: Maksymiuk Stanisław, Kusiuk Aleksander, Iwańczuk Stefan, Łobejko Jan syn Józefa, Szypulski Stefan, Kozak Franciszek, Łobejko Jan syn Jakuba, Kusiuk Onufry, Kowalczuk Stanisław, Milaniuk Julian, Łobejko Jan syn Szymona, Kozak Celestyn, Burzec Mikołaj, Kropiwić Daniel, Kowalczuk Franciszek, Dzyr Michał.

Ludzie powoli odbudowali się ze zniszczeń wojennych. Drzewo zwozili z lasu rządowego w Makoszce i ze swego lasu Smuga. W majątku hrabiego Zamoyskiego Tomasza w Jabłoni stał garnizon niemiecki. Stąd przyjeżdżali Niemcy do naszej wsi i nakładali kontyngenty zboża, ziemniaków, mleka. Kto nie dał mleka, zabierali krowy. Mój ojciec był wtedy sołtysem. Codziennie przybywał Niemiec i sprawdzał, czy wszystko oddają. Kartofle sypali w kopce. Gdy ktoś przywiózł ostatek i nic mu z żywności nie pozostawało, to mój

ojciec prowadził tego Niemca na poczęstunek i polecał gospodarzowi drogą zagumienną uciekać do domu wraz z tymi workami, które na kontyngent przywiózł. W tym czasie, gdy Niemcy okupowali nasze tereny w Dawidach i okolicy, młodzież zorganizowała się w POW (Polska Organizacja Wojskowa). Ludwik Szajda, młody mieszkaniec Dawidów, zbierał w nocy naszą młodzież i ćwiczył ich w wojskowości. Dzieci nasze zaczęły też chodzić do polskiej szkoły. Również w Dawidach był chętny nauczyciel i uczył dzieci w prywatnym domu. Taki stan okupacyjny trwał do 11 listopada 1918 r. Wtedy nadeszła radosna wiadomość, że Niemcy kapitulują. Nasi pojechali do Jablonia i zaczęli Niemców rozbrajać. Niemcy uciekali, chociaż w niektórych stronach (jak pod Wisznicami) stawiali opór, zginęli nieraz peowiacy, Polska odzyskała niepodległość. Ojczyzna nasza zaczęła cieszyć się wolnością.

Ogłoszono pobór do wojska, bo pokój nie trwał długo, w 1919 r. rozpoczęła się wojna polsko-bolszewicka. Początkowo armia polska posuwała się naprzód, Polacy zajęli Kijów i nawet posunęli się dalej. Po wycofaniu się wojsk interwencyjnych, które miały wspomagać białogwardzistów w stłumieniu rewolucji bolszewickiej, bolszewicy rosyjscy (komuniści) skoncentrowali swoje siły i przystąpili do kontrofensywy. Nasza armia zaczęła w popłochu cofać się. Na froncie północnym ofensywę rozpoczęła armia marszałka Tuchaczewskiego, a był to świetny dowódca bolszewickiej Armii Czerwonej. W sierpniu 1920 r. bolszewicy podeszli pod Warszawę. Na froncie południowym armia Budionnego została rozbita. Wówczas Józef Piłsudski ściągnął kilka dywizji wojska polskiego i szykował się do kontrofensywy w bitwie warszawskiej. Przybył do Polski sztab francuski z generałem Weygandem, aby ratować zagrożoną sytuację niepodległej Polski. W nocy z 14 na 15 sierpnia rozpoczęła się kontrofensywa. Nasi uderzyli nad Wieprzem i wyszli do przodu w celu okrążenia armii bolszewickiej skoncentrowanej pod Warszawą. Tak front został przełamany, bolszewicy uciekali w popłochu. Tak Polacy szczęśliwie zatrzymali pochód Armii Czerwonej na zachód. Upadły ich plany opanowania Europy, która była już mocno znękana wojną światową. W Rydze został podpisany pokój.

II. Dawidy w dwudziestoleciu międzywojennym

Polska po podpisaniu pokoju w Rydze cieszyła się wolnością do 1939 r. Zaczęła się odbudowa kraju zniszczonego wojną. Polska była wolnym i demokratycznym krajem. Dwudziestolecie międzywojenne jest okresem naszego dzieciństwa i szkolnych lat. Będę również korzystał nie tylko z opowiadań innych, ale i z własnych wspomnień. Otóż mieliśmy obowiązek uczęszczania do szkoły powszechnej przez 7 lat. Zamożniejsi gospodarze posyłali swoje dzieci również do szkoły średniej, a nawet na wyższe studia. Młodzież chętnie wstępowała do organizacji. U nas zostało zorganizowane Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej w 1927 r. Były dwa oddziały młodzieży – męskiej i żeńskiej. I ja także po ukończeniu Szkoły Powszechnej w Dawidach wstąpiłem w 1935 r. do tej organizacji. Wtedy miała już inną nazwę – Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej i Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Żeńskiej. Młodzież urządziła akademię na uroczystości pań-

stwowe i kościelne – na 3 maja, 15 sierpnia w rocznicę Cudu nad Wisłą, na 11 listopada w Święto Niepodległości oraz na uroczystości kościelne – w Wielkanoc na wspólne święcenie, akademie na 13 listopada w święto młodzieży pod patronatem św. Stanisława Kostki, na 30 listopada w rocznicę wybuchu powstania listopadowego, co przeszło teraz w forsowane Andrzejki, wspólny także opłatek i choinka w wigilię Bożego Narodzenia oraz inne uroczystości. Gdy nauczycielem w Dawidach był Feliks Macieszko, to młodzież w szkole urządziła przedstawienia. Gdy jednak przybył do Dawidów Czesław Kawęcki, to ten kierownik szkoły nie popierał Stowarzyszenia Katolickiego, lecz założył trochę lewicującą Koło Młodzieży Wiejskiej i nie użyczał szkoły dla KSM-u (Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży), nie zezwalał na przedstawienia i akademie. Wtedy młodzież zbierała się po domach, bo nie było u nas remizy.

W czasie zimowych wieczorów młodzież zbierała się i uczyła się historii polskiej, matematyki, przerabiała lektury z języka polskiego oraz dziedziny rolniczej. W lecie zakładali polećka doświadczalne. Był do tego instruktor przyjeżdżający co jakiś czas, uczył jak należy stosować nawozy, sprowadzał nowoczesne odmiany zbóż i roślin okopowych, ażeby zwiększyć wydajność z hektara.

Młodzież męska miała szkolenia z dziedziny wojskowości. Do tych wykładów przyjeżdżał instruktor z jednostki wojskowej.

Nasze KSM było szczególnie prężne, gdy proboszczem gęsieńskiej parafii był ks. Fr. Chwedoruk. Ten zacny kapłan wszystkie swoje siły i zdolności poświęcał młodzieży. Organizował zebrania, akademie i uroczystości państwowe. Sam był członkiem KSM-u w Gęsi. Był nawet prezesem. Gdy ksiądz Chwedoruk został przeniesiony na inną placówkę duszpasterską (jak mówiono wystął), to zapał już ostygł. Wprawdzie ksiądz Edward Kurdziałek, następny proboszcz, przyjeżdżał do Dawidów na zebrania, gdy go poproszono, ale sam czynnie nie włączał się.

Na walnym zebraniu 30 grudnia 1938 r. zostałem wybrany prezesem KSM-u w Dawidach. Było to dla mnie trudne zadanie, ponieważ byłem prawie najmłodszym druhem i nie miałem jeszcze doświadczenia, a starsi nie mają posłuchu u młodszego. Sekretarzem został wybrany Franciszek Abramczuk, a skarbnikiem Józef Milaniuk. Urządziliśmy jeszcze obchody 3 maja 1939 r., wspólne święcone na Wielkanoc, majówkę i dożynki. Ale nie było już dużego entuzjazmu, bo zanosilo się na wojnę. W marcu 1939 r. ogłoszono częściową mobilizację, 30 sierpnia ogłoszono powszechną mobilizację, a 1 września weszliśmy w stan wojny z Niemcami.

III. Dawidy w czasach okupacji niemieckiej

Rano 1 września 1939 r. było słychać w Dawidach wybuchy bomb, bo Niemcy bombardowali lotnisko w Białej Podlaskiej, potem zrzucali bomby na radzyńską szosę koło Rudna, ale na szczęście nie trafili w drogę, którą przemierzały się tłumy ludności uchodzącej przed nadejściem wojsk niemieckich. Te spadające bomby wybiły duże doły na łące przy lesie Choinka.

Pod przewagą liczebną i techniczną wroga nasza armia wycofała się na wszystkich frontach. Naszym gościńcem szła od zachodu rzesza ludzi uciekających za Bug. Wtedy u nas we wsi mieszkańcy organizowali posiłki dla uciekinierów. Ludzie znosili produkty żywnościowe przy gościńcu u Korola Wincentego. W sadzie nad gościńcem ustawili stoły i wydawali obiady. Gdy nastawialiśmy piersi na odparcie wroga, wówczas w niedzielę 17 września uderzył na nasz kraj drugi wróg, tym razem bolszewik ze wschodu, zadając nam cios w plecy. Sytuacja stała się beznadziejna. Zawiedli nas sojusznicy z zachodu (Francja i Anglia), zostaliśmy osamotnieni. Pod koniec września przemieszczała się polska kawaleria w stronę Biłgoraja i Zamościa, gdzie stoczyła ostatni bój.

W ostatnich dniach września przechodziła w naszym rejonie armia generała Kleeberga idąca ze wschodu na zachód. Dnia 29 września natknęli się w Jabłoni na oddział bolszewicki (sowiecki), gdzie stoczyli z nimi bój. Zginęło tam 13 polskich żołnierzy. Zginęło również kilkunastu żołnierzy z wojska sowieckiego. U kogo żołnierz został zabity, wówczas gospodarza aresztowali sowieci wmawiając, że to on go zabił. I tak zawieźli kilka osób do Radcza pod wiatrak. Tam ich sąd wydał wyrok śmierci, ci cywile zostali rozstrzelani.

Generał Kleeberg wycofał się pod Kock i w tamtejszym regionie jego wojska stoczyły ostatni bój z Niemcami. Z powodu braku amunicji poddali się w dniu 5 października. W tym boju zginęło dwóch naszych żołnierzy pochodzących z Dawidów – podchorąży Dzyr Józef syn Michała i Burzec Władysław z rodziny nazywanej w Dawidach Bureczanka. Pozostali żołnierze, oprócz czterech, powrócili do domów po ciężkich przejściach. Czterech żołnierzy dostało się do niewoli niemieckiej. Dzyr Adolf syn Piotra, Dzyr Franciszek syn Michała, a brat poległego w Helenowie pod Wołą Gułowską, Abramczuk Stanisław i Milaniuk Stanisław syn Jana. Powrócili po zakończeniu wojny w 1945 r. Tak skończyła się wojna obronna 1939 r. Polska została podzielona przez dwóch okupantów – Rzeszę Niemiecką i Związek Sowiecki. Rozpoczęła się ciemna noc okupacji.

Chociaż Polska została wymazana z mapy Europy, to naród nie poddał się okupantom i nie stracił ducha według hymnu narodowego: *Jeszcze Polska nie zginęła, kiedy i my żyjemy*. Zaraz zaczęła tworzyć się Polska Podziemna przygotowująca tajne siły zbrojne. U nas także zawiązała się organizacja wolnościowa. Pierwszymi założycielami byli: Czesław Kawęcki – kierownik dawidowskiej szkoły, Stanisław Kozak przedwojenny kapral, Jan Kozak syn Celestyna, kapral Józef Kuniszyk. Zaczęły tworzyć się struktury organizacyjne. Gmina Jabłoń i Milanów tworzyły drugi rejon, powiat radzyński był obwodem, województwo lubelskie stanowiło okręg. Pierwszym dowódcą rejonu był Antoni Czajkowski, kierownik szkoły z Kolana. Dowódcą obwodu był Konstanty Witkowski pseudonim Miller major, dowódcą okręgu generał Tumidajski pseudonim Marcin. Nasz dowódca rejonu Antoni Czajkowski został aresztowany i zginął. Po nim dowódcą rejonu został porucznik Piotr Waszczuk, nauczyciel z Gęsi, pseudonim Socha, a potem przemieniony jego pseudonim na Rola.

Na początku stycznia 1942 r., gdy wstąpiłem do organizacji, należeli następujący koledzy: Franciszek Kuniszyk syn Szymona; Stanisław Kowalczyk syn Jana; Bolesław Dzyr

syn Michała; Bernard Kowalczyk; brat Stanisława Józef Dzyr syn Jana; Jan Łobejko syn Jana; Józef Kropiwiiec syn Michała; Stanisław Kropiwiiec syn Michała; Czesław Kozak syn Mikołaja; Franciszek Kozak syn Mikołaja; Stanisław Kozak syn Celestyna; Stanisław Kozak syn Antoniego; Franciszek Lewczuk syn Mateusza; Stanisław Kuniszyk syn Szymona; Stanisław Milaniuk; Józef Łobejko; Stanisław Iwańczuk syn Stefana; Józef Iwańczuk; Stanisław Kozak syn Mikołaja; Stefan Kozak syn Piotra (ja).

W 1942 r. polityczne organizacje wojskowe rozkazem Naczelnego Wodza generała Sikorskiego zostały przekształcone w organizację wojskową Armią Krajową. Wtedy należała już duża grupa młodzieży. Czesław Kawęcki był dowódcą 19. plutonu, do którego wchodziło jeszcze Radcze i Rudzieniec, zastępcą dowódcy plutonu był kapral Jan Kozak syn Celestyna, zaś kapral Stanisław Kozak syn Mikołaja jako dowódca placówki. Ponadto należeli wtedy: Kuniszyk Józef, Kuniszyk Franciszek, Iwanczuk Stanisław, Dzyr Bolesław, Kowalczyk Stanisław, Kowalczyk Bernard, Kozak Stefan, Łobejko Jan, Kropiwiiec Stanisław, Kropiwiiec Józef, Łobejko Józef, Iwańczuk Józef, Milaniuk Stanisław.

Zaczęliśmy gromadzić broń i amunicję. Planowany był wybuch ogólnonarodowego powstania. Cały czas otrzymywaliśmy konspiracyjną prasę, organ AK, a był to „Biuletyn Informacyjny”. Ludność była obciążona kontyngentami, więc rozpoczęliśmy działania mające na celu utrudnienia w ściąganiu kontyngentów. Zrobiliśmy wypad do Urzędu Gminy w Jabłoni, aby niszczyć dokumenty dotyczące ewidencji gruntów, przez co nie mogliby wymierzać kontyngentów. Ściągaliśmy łapy sprężynowe z kieratów, aby utrudnić omłot zboża, w folwarkach dworskich niszczyliśmy maszyny omłotowe. W zlewniach mlecznych niszczyliśmy bańki, aby nie mieli w czym dostarczać mleka. Niszczyliśmy linie telefoniczne na trasie Jabłoń – Radzyń oraz Parczew – Włodawa. Unikaliśmy napadu na żołnierzy SS w Jabłoni, ponieważ za jednego zabitego Niemca rozstrzeliwano 50. Polaków, jak było w Rudnie 30 maja 1940 r. Dowódcą oddziału SS w Jabłoni był major Dunkel, wysokiej rangi członek hitlerowskiej partii NSDAP. Jego zastępcą był Polak z Poznańskiego kpt Franciszek Gajda. Z Gajdą zaprzyjaźnił się sekretarz gminy Jabłoń Samson. To on informował organizację o wszelkich ruchach Dunkla. Gdy Dunkel miał jechać do Parczewa, to Gajda niby go ostrzegał, żeby nie jechał przez las Smuga, lecz omijał ją przez Gęś, bo w lesie jest duża partyzantka sowiecka, robią na niego zasadzkę, ale polscy partyzanci ostrzegają go i na tej trasie nie będzie zasadzki. Wtedy on mówił, że polskie partyzanty „gut”, a tylko te ruskie to są bandyci. Gajda nieraz kombinował i dostarczał nam amunicję przez Samsona, który był członkiem AK.

Tak za okupacji niemieckiej był u nas spokój. Nie było szpicliów skarżących rodaków. Jeden gospodarz, a mianowicie Klimejko Grzegorz, pobił swego szwagra Mostowca Aleksandra. Ten pojechał do Jabłonia i zaskarżył go o pobicie. Doniesienie to złożył Niemcom. Wtedy przyjechali Niemcy i zabrali go do Jabłonia jako bandytę. Klimejko oświadczył, że nie jest bandytą i na śledztwie poskarżył Niemcom, że jego sąsiad Dzyr Franciszek syn Jana (zwany na wsi Morozów) powracając z wojny przywiózł karabin. Niemcy przyjechali do Dawidów (było to przy końcu czerwca 1940 r.), zrobili rewizję w obejściach owego Dzyra, ale broni nie znaleźli. Wtedy wycięli Niemcy dwa bijaki, położyli

Klimejka na kozioł do rżnięcia drzewa i bili go we dwóch, a ten tak głośno krzyczał, aż było daleko słyszeć we wsi. Była to dobra przestroga dla innych we wsi, bo nikt nie odważył się więcej donosić Niemcom o swoich. Nie było u nas we wsi szpiclów miejscowych. Ale Dzyr Franciszek (Morozów) był już podejrzany u Niemców. I chociaż za dwa lata zawarł związek małżeński z Józefą Deneką córką Stefana i tam był za zięcia, to jednak wpadli w jesieni 1942 r. aby go aresztować, lecz nie znaleźli go. Mieli rozstrzelać u Deneki Żyda Majlacha, którego wówczas we wsi spotkali, ale na razie odjechali, pozostawiając obu przy życiu. Dnia 6 maja 1943 r. przyjechało Gestapo do Dawidów aresztować Dzyra Franciszka, Kawęckiego Czesława, Kowalczuka Feliksa porucznika Wojska Polskiego. Kawęckiego nie znaleźli, również nie znaleźli Feliksa Kowalczuka. Gdy zaszli do Deneki Stefana po Dzyra Franciszka ten zaczął uciekać w kierunku Ochuszki i został zabity z broni maszynowej. Kowalczuka Feliksa poszukiwali jeszcze u jego krewniaka Kowalczuka Franciszka (zięcia Onufrego Saka) na północnej stronie wioski. Tam zaprowadził ich brat Feliksa Józef Kowalczuk. Gdy Niemcy robili tam rewizje, to Kowalczuk Franciszek zaczął uciekać przy swoich zabudowaniach i został zabity. Uciekał również koło Antoniego Susły Józef Kowalczuk, dopędzili go konno w Olszynie od strony Pećka i tam Niemiec zastrzelił go oddając strzał w głowę. Ale więcej Gestapo do Dawidów nie wpadało.

Dowódca placówki kapral Stanisław Kozak syn Mikołaja (zwany we wsi Kapczuczyn), uczył nas wojskowości w moim spichrzu, który stał na uboczu w sadku po wschodniej stronie wioski blisko dawnej drogi zagumiennej. Tam uczył nas jak posługiwać się bronią, jak rozbierać zamek z karabinu, ładować amunicję, celować do strzału (broń zbieraliśmy w szczególności od tych, co powrócili z frontu 1939 r., ale często amunicja była zamoknięta, niewypały, inna nie pasowała do odmiennych typów broni).

Na wiosnę 1944 r. robiliśmy zbiórki w ustroniu leśnym noszącym nazwy Czarny Las, tam podchorąży Czesław Szwaj (który skończył konspiracyjną podchorążówkę za Białą Podlaską) uczył nas znajomości ćwiczeń wojskowych (bojowych). Takie ćwiczenia odbywały się kilka razy na szczelbu rejonu. W czerwcu mieliśmy takie ćwiczenie u nas w lasku zwanym Morgi.

W 1943 r. na terenie naszego rejonu zostało rozszyfrowanych dwóch szpiclów. Był to Korpysz z Jabłonia i nauczycielka z Radcza, pochodzenia niemieckiego. Ona wydała w ręce Gestapo Dominika Furmana z Radcza, który został aresztowany i zginął w Oświęcimiu. Korpysz wydał dowódcę rejonu Antoniego Czajkowskiego z Kolana. Szpicle zostali zlikwidowani. W Rudzieńcu administrator majątku Jursz wydał Kroszkę i Plichtę, którzy zostali aresztowani przez Gestapo, ale powrócili z obozu. O współpracę z Niemcami podejrzany był policjant granatowy Neuman (Nojman) z posterunku w Jabłoniu oraz sołtys wsi Zaniówka Makaruk, który popijał z niemiecką żandarmerią w Parczewie. Policjant Neuman przyjechał wraz z Gestapo aresztować Feliksa Kowalczuka przedwojennego porucznika i Czesława Kawęckiego, dowódcę plutonu. Kawęcki zawsze ukrywał się w moim spichrzu, gdzie robiliśmy zbiórki i ćwiczenia z bronią. Potem ukrywał się u Józefa Abramczuka. W tamtejszej stodole, przy drodze zwanej Ścianką, zrobili mu kryjówkę. Abram-

czuk miał sklep, ludzie stale przychodzili za zakupami, była tam jakby osłona przed podejzrzeniami. (Neuman został zlikwidowany gdzieś pod Rudzieńcem i zakopany w rowie.)

W 1943 r. zrobiliśmy wspólny opłatek u Kuniszuka Józefa. Była to dla nas uroczysta chwila. Odśpiewaliśmy wspólnie Hymn Narodowy, podzieliliśmy się opłatkiem, śpiewaliśmy kolędy, składaliśmy życzenia i mieliśmy nadzieję, że wkrótce będziemy wolni.

W grudniu doznaliśmy też wielkiego szoku. Otrzymaliśmy „Biuletyn Informacyjny”, a tam na czołowym miejscu był zamieszczony artykuł oznajmiający, że Armia Czerwona wkroczyła na polskie tereny, zajęli miasto Sarny i inne miejscowości, które przed wojną należały do Polski. Dalej informują nas, że nie idzie wyzwolenie ze wschodu, a tylko nowa okupacja, bo rozbrajają nasze oddziały, członków konspiracyjnych organizacji wsadzają do więzienia, wywożą na Sybir, rozstrzelują polskich oficerów. Wobec nowego okupanta nie zachowywać się lojalnie, unikać z nimi starć zbrojnych, żeby nie ginęli nasi żołnierze, przydadzą się nam bardzo, gdy przyjdzie chwila dziejowa, gdy będziemy walczyć o wyzwolenie. Wtedy nasunęła się nam refleksja, że nie ma sensu dla nas prowadzić walki z Niemcami, niech biją się między sobą obaj nasi wrogowie, a jak będą słabsi, to łatwiej będziemy mogli uzyskać wolność. Czekaliśmy wiosny i inwazji Aliantów we Francji. Pokładaliśmy w nich nadzieję, że może oni nas wyswobodzą. Zdobywaliśmy broń i amunicję, odbywaliśmy w dalszym ciągu ćwiczenia.

W grudniu 1943 r. Kawęcki zorganizował (jako dowódca plutonu) wyprawę do gorzelni w Rudzieńcu w celu zdobycia spirytusu, jako że będzie potrzebny do materiałów wybuchowych do butelek zapalających. Tam kilku polecił zebrać się koło wiatraka za Dawidami. Ale na zbiórkę przyszli wszyscy, bo jeden informował drugiego, a to każdemu podobało się. Gdy Kawęcki spostrzegł, że zebrała się cała placówka, ktoś zdradził rozkaz, bo to jest tajemnica konspiracyjna i nakazał rozejść się do domu. Na taką wyprawę wybrała się grupa z Milanowa, chcieli zdobyć spirytus z gorzelni z Rudzieńca. Takie wyprawy odbywały się już wcześniej, więc Niemcy z Parczewa wysłali oddział żandarmerii dla ochrony gorzelni. Niemcom zależało na tej gorzelni, bo mieli możliwość płacić spirytusem za kontyngenty dostarczone rolnikom, mieli materiał do rozpijania polskiego społeczeństwa, chwytania pijanych członków konspiracji antyniemieckiej. Gdy niemieccy strażnicy stacjonujący w Rudzieńcu usłyszeli turkot zbliżających się żelaznych wozów, otworzyli ogień z automatów. Wtedy jeden z Milanowa został zabity, drugi ranny, trzeci zdołał uciec. To samo i nas spotkałoby tej nocy. Tylko zbieg okoliczności uchronił nas od tego. To była pierwsza wyprawa Niemców do obrony gorzelni. Syn dyrektora gorzelni Rysiek Niemczyk był nasz członek, który również ukończył konspiracyjną podchorążówkę. Kawęcki porozmawiał z nim, aby zawiadomił nas kiedy nie będzie Niemców i wyprawa udała się.

Dnia 2 marca 1944 r. dwóch pijanych żołnierzy żandarmerii niemieckiej z oddziału Dunkla (jeden Niemiec, jeden Ukrainiec) przyszli od strony Gęsi do Dawidów i zaczęli maltretować ludzi, niby to poszukiwali tych, którzy jeszcze nie oddali kontyngentu, a pewnie i chcieli wypić. Posłaliśmy wtedy gońca do Kolana, ażeby ich zlikwidować. Przyjechali czterech konno (na wierzchy). Spotkali się u Szypulskiego Franciszka i otworzyli do nich ogień. Niemcy strzelali przez okno, nasi zza drzewa (przed domem rosła gruba topola).

Potem nasi przez okno rzucili kilka granatów i zdołali ich zabić w tym mieszkaniu. Cale szczęście, że domownicy zdołali umknąć do piwnicy (do lochu, więc ocaleli). Ale wielki strach zapanował we wsi. Wszyscy młodzi uciekali ze wsi, za nimi w strony Olszyny pędzili i starsi mężczyźni, obawiano się pacyfikacji ze strony Niemców. W nocy zebrano się dowództwo rejonu jak zaradzić tej groźnej sytuacji. Zawiadomiono sekretarza Samsona, a ten przez kapitana Gajdę, przesłał meldunek do Dunkla, że to był oddział sowieckiej partyzantki, że jego żołnierze pierwsi otworzyli ogień i przez tych partyzantów zostali zabici. Jeśli z jego strony będzie zemsta, to polska partyzantka będzie robić zasadzki na jego żołnierzy, a jeśli tego nie uczyni, to będą mogli spokojnie poruszać się po naszym terenie. Ludzie we wsi zostali poinformowani, żeby koniecznie mówili, że to jechali ruskie i że SS-mani pierwsi do nich strzelali. Na drugi dzień 25 marca przyjechał Dunkel do sołtysa Milaniuka Stanisława, który mieszkał przy gościńcu. Sam przesłuchiwał ludzi wzywanych i wszyscy w ten sposób zeznawali. Żandarmeria poczyniła rewizje we wsi, ale nic nie znaleziono. Wynagrodzili sobie zabierając ze sobą kilka karmnych wieprzy na urządzenie pogrzebowej uczty w Jabłoni. Tak szczęśliwie zakończył się ten incydent.

Zaczynała się wiosna, szykowaliśmy się do akcji Burza (kiedy będzie zbliżać się Armia Czerwona zlikwidować Niemców, przejąć władzę zanim nadejdą Sowieci). Zdobywaliśmy broń i amunicję, odbywaliśmy dużo ćwiczeń, werbowaliśmy więcej ludzi do oddziału leśnego w Kąkolewnicy. Od nas poszedł Lewczuk Franciszek i Dzyr Bolesław. Do oddziału zostali wcieleni wszyscy ścigani przez Gestapo. Z Jabłonia poszedł Mostowiec Kazimierz, Sak Bernard i Niedzielski organista z Jabłonia. Kawęcki polecił mi, abym poszedł do księdza J. Terlikowskiego w Jabłoni i oznajmił mu, że widziałem go jadąc z Parczewa, jak żandarmi niemieccy wieźli go aresztowanego, a on, gdy mnie zobaczył, to wołał do mnie: powiedz księdzu, że widziałeś... ale nie dali mi dokończyć dalszych słów. Rozkaz musiałem wykonać. Poszedłem łąkami, aby nikt mnie nie zauważył. Ksiądz Terlikowski nie znał mnie, bo do kościoła w Jabłoni nie chodziłem. Zostałem księdza w domu, a było to w południe. Wszystko opowiedziałem księdzu pod wrażeniem. Ksiądz bardzo tym się przejął, bo był to bardzo dobry organista, zaproponował mi poczęstunek, ale odmówiłem twierdząc, że bardzo się spieszę, bo mam do wykonania inne polecenie. Ale ksiądz znał się z Gajdą, zastępcą Dunkla. Zwrócił się do niego z prośbą o interwencję w tej sprawie, aby go jakoś uwolnić. Gajda z Dunklem rozpoczęli interwencję na posterunku żandarmerii w Parczewie i na innych placówkach, ale wiadomo, że go nigdzie nie było i nic o tym nie wiedzą. W tej sprawie kazał mi zgłosić się na posterunek w Parczewie i zgłosić meldunek, że jechałem z organistą rowerami i w lesie Smuga wyszli uzbrojeni, zatrzymali nas, wylegitymowali, mnie puścili, a jego poprowadzili w las. Było to trudniejsze zadanie, bo mogli Niemcy mnie od razu aresztować, ale musiałem i to wykonać. Zgłosiłem się na posterunek żandarmerii, złożyłem ten meldunek. Wypytywali się czy którego nie znalazłem, jakie mieli uzbrojenie, czyli byli bardzo agresywni. Mówiłem, że nikogo nie znalazłem, podałem jaką mieli broń, zrobili protokół, podpisałem i puścili mnie.

W maju Naczelna Komenda AK, BCh, NSZ, WRN i inne organizacje wojskowe, uznające rząd w Londynie i podlegające jego rozkazom, połączyły się w jedną organizację

wojskową. Było wielkie zgromadzenie w Czarnym Lesie. Przyjechał dowódca powiatowy 35 pp major „Miller” Konstanty Witkowski, d-ca BCh, NSZ i WRN. Była to podniosła chwila. Odśpiewaliśmy Hymn Narodowy, wszyscy składali przysięgę wojskową, taką jaką my składaliśmy w AK, bo u innych organizacji było to tylko przyrzeczenie organizacyjne. Po odmówieniu słów przysięgi wszyscy całowali krzyż. Dowódcą był major „Miller”, zastępca z BCh, jeszcze jego zastępca z NSZ. Natomiast WRN była nieliczną organizacją w naszym terenie, otrzymał najniższą funkcję.

W czerwcu dowódca rejonu celem zdobycia broni zorganizował zasadzkę na tory w Milanowie. Oddział Niemców sprawdzał codziennie tory, czy są w porządku, czy nie ma zasadzki, bo zbliżał się front i stale przechodziły tędy transporty wojskowe. Do tej akcji dowódca rejonu zmobilizował konspiracyjnych żołnierzy z Milanowa, Wierzbówki i z Gęsi. Nas do tego nie organizował. O świcie zebrali się chłopcy w lesie milanowskim i zaatakowali tyralierę niemiecką. Pierwsi podnieśli ręce do góry, ale dalsi otworzyli silny ogień. Zginęło naszych trzech żołnierzy: Bolesław Jaszczuk z Gęsi ps. „Grajek” (był muzykantem wioskowym), Czesław Nieścioruk z Gęsi ps. „Bażant” i Szybiński z Milanowa. Dwóch naszych było rannych w szczękę. Wyprawa nie udała się, więcej zasadzek nie organizowano.

Front szybko zbliżał się. Armia Czerwona zajmowała obszary Rzeczypospolitej Polskiej. Nasza prasa donosiła o masowym aresztowaniu Polaków na zajmowanych obszarach, a szczególnie żołnierzy AK. Czekaliśmy w napięciu i pełnym pogotowiu. Nie wiedzieliśmy, jakie decyzje dadzą nam naczelne władze. Jednak nasze szeregi powiększały się, należało 40 chłopców. Zostały stworzone drużyny. Ja otrzymałem awans na starszego strzelca i dowódcę drużyny. Miałem pod swoją komendą 10 żołnierzy. W maju nasz dowódca Kawęcki zrobił zbiórkę i zorganizowaliśmy warty, każdą noc miała wartę inna drużyna. Cała drużyna zbierała się w stodole u Milaniuka Jakuba albo u Kozaka Antoniego. Dwóch na zmianę stało na warcie, a reszta czuwała wraz z drużynowym w stodole. Jednego razu, gdy miałem wartę ze swoją drużyną, jechał silny oddział AL. Rozbroił naszych wartowników i zaczęli we wsi rabować, szukając dobrych butów, mundurów i wódki. Zawiadomiliśmy dowódcy Kawęckiego. Ten poszedł do dowódcy oddziału, porozmawiał z nim i oddali naszą broń. Oni byli świetnie uzbrojeni. Mieli pepeszkę, rk-emy, krotką broń i dużo amunicji. Rozmawialiśmy z tymi chłopcami. Dali nam amunicji, a my częstowaliśmy ich wódką. Wtedy u Władysławy Kusiuk szykowało się wesele, wychodziła do Polubicz za Jana Parulskiego. Była to nasza sanitariuszka. Zaprosiła nas na poczęstunek i kilku chłopaków z tego przejeżdżającego oddziału. Gdy odjeżdżali, Kawęcki wsiadł do nich i pojechał z nimi. Wtedy zorientowaliśmy się że on współpracuje z AL.

Front był coraz bliżej. Czekaliśmy w napięciu. Mieliśmy przyszykowane plecaki, ciągle zdobywaliśmy broń i amunicję. Ci, którzy dotychczas współpracowali z Niemcami, chronili głowy w piasek. Granatowa policja przechodziła do naszych oddziałów. Policjant Neuman z Jabłonia przeniósł się do Komarówki. Tam szukał łączności z tamtejszym oddziałem. Dla uzupełnienia uzbrojenia dostaliśmy ze zrzutu steny. Były to dobre automaty do walki partyzanckiej – rozbierał się na 3 części, można było go nosić i był niewidoczny.

Policjanci, którzy służyli Niemcom, byli likwidowani. W Jabłoniu zrobili napad na policjanta Mülle, który zabił w Kolanie naszego żołnierza Zygmunta Sołdackiego. A było to tak, że Sak Bernard i Mostowiec Kazimierz, jako pełniący warty OSP w Jabłoniu, zbliżyli się do tego policjanta, kiedy ów Mülle pełnił wartę służbową. Policjant dostał strzał w głowę i upadł. Chłopcy myśleli, że był to strzał śmiertelny, i nie dobijali go. On jednak wyleczył się i zapamiętał, kto usiłował go zabić. Obaj chłopcy musieli zgłosić się do oddziału leśnego, który stacjonował w Kąkolewnicy. Kawęcki organizował zasadzki na policjanta Neumana, chcąc pomścić się, że razem z Gestapo przyjeżdżał go aresztować. My z Dawidów nie chcieliśmy tego rozkazu wykonać, gdyż on będąc policjantem w Jabłoniu, chociaż często do Dawidów przyjeżdżał, to jednak nikomu nie uczynił nic złego. Wysłał do tej akcji chłopaków z Rudzieńca. Neuman często z Komarówki przyjeżdżał do Jabłonia. Został zlikwidowany pod Rudzińcem i pogrzebany w kanale pod Rudzińcem (podobno miał nadzieję, że w Rudzieńcu znajdzie ocalenie).

W lipcu front szybko się zbliżał. Słychać było kanonadę dział. Ludność przygotowywała się do przejścia frontu. Niektórzy szykowali schrony w ziemi. Przygotowywali zapasy żywności, odzież, obuwie i co cenniejsze składali w ziemi do skrzyni. Sprzęt gospodarski, narzędzia rolnicze wynosili za stodoły pod drzewa, aby ocalały w razie pożaru.

W czwartek 20 lipca wjechała do wsi Dawidy pierwsza kolumna wojska niemieckiego. Była to jeszcze szykowna jednostka, dobrze uzbrojona i miała zapasy żywności. W nocy wycofali się i w piątek 21 lipca nadszedła druga jednostka. Byli jeszcze szykowni i zdyscyplinowani. W sobotę 22 lipca 1944 r. wjechali następni, nowi, powiedzieli, że cofnęli się prosto z frontu. Wśród nich było dużo Ukraińców, którzy służyli Rzeszy Niemieckiej. U Szajdy Stanisława chcieli zgwałcić jego żonę Annę, ale ona uciekła przez okno. W domu została 6-letnia dziewczynka Jasia. Tak ją gwałcili, że zamordowali. Ukraińcy byli najgorsi z tej jednostki, zdemoralizowani, ich najbardziej należało się obawiać, jak już zapowiadali Niemcy z poprzednich jednostek stacjonujących w Dawidach. W ostatniej linii było ich najwięcej, bo najlepiej walczyli z Sowietami, nie chcieli, aby ich wzięto do niewoli. Sowietci na miejscu ich mordowali, że oni sprzedali swoją mać, na nich szkoda kuli. Już w sobotę na wieczór mieszkańcy wraz z dobytkiem opuścili wioskę, nie zamykali domów, aby ich nie podpalali. Jedni przenieśli się jak w pierwszą wojnę na Praborek, część gdzieś po zachodniej stronie, aż w Chajmuszcze. W niedzielę 23 lipca po wsi jeździły czołgi, wojsko niemieckie cofało się na zachód, ale nie mogli wyprowadzić swoich taborów. Po południu od strony Łubna wjechały czołgi sowieckie do wsi, a we wsi było pełno Niemców, rozpoczął się bój. Początkowo czołgi sowieckie wycofały się, za stodołami były czołgi niemieckie. Od strony Łubna nacierali ruskie, mieli tam ustawione działa, pociski padały we wsi, uszkodzili nawet kilka budynków, ale padał wtedy duży deszcz i nie było wielkich pożarów. Spaliło się zabudowanie Saka Feliksa, usytuowane bliżej końca południowego wioski oraz stóg siana u Karola Osipiuka za stodołą od strony wschodniej, gdy ostrzeliwano tę stronę wioski, aby zlikwidować działo niemieckie ustawione na polu w pobliżu szkoły (załoga niemiecka została zabita). Niemcy uciekali z Dawidów na północ, bo odcięta im została droga na zachód prowadząca do Radzyna. Ruskie bowiem wojska postępowyły

od Lublina na Parczew i Radzyń. Wieczorem 23 lipca bój ustał. Poległo i kilku żołnierzy sowieckich (spoczywali przez kilka lat i w 1950 r. przewieziono ich na wspólne cmentarze). Tego wieczora po boju weszło dużo ruskiego wojska. Nasza ludność przez całą noc wracała do swoich domów, zajętych chwilowo przez wojska sowieckie, które przyrządzało sobie pożywienie, dyżurowali przy polowych działkach nastawionych w kierunku polubickiej szosy. Tak zakończyła się u nas okupacja niemiecka trwająca prawie 5 lat, przyszła długa komunistyczna niewola.

IV. Dawidy w początkach okupacji sowieckiej

Gdy wkroczyła do Dawidów komunistyczna Armia Czerwona to pierwsze dni były bezkrólewem. Pełno było sowieckich żołnierzy, ogłaszali się naszej ludności jako oswobodziciele, chodzili po domach, chcieli wódki, komendanci wojenni pilnowali ich, aby nie uczynili jakiegoś bałaganu. Natomiast posuwająca się na zachód Armia Czerwona zabierała naszym gospodarzom konie, których im brakowało, bo dużo koni było zabitych lub rannych i nie nadawały się do dalszego transportu. Mnie również zarekwirowali dwa konie.

Dowódca naszej placówki AK Czesław Kawęcki zebrał nas na drodze nazwanej Ścianka i wygłosił nam swoje wezwanie. Powiedział, że nasza konspiracja jest już skończona. Mamy już polski rząd w Chełmie i musimy wykonywać jego rozkazy, rząd londyński w swoich rozkazach nas nie obowiązuje. Musimy iść do wojska, jest już ogłoszony pobór czterech roczników: 1921, 1922, 1923, 1924. Te roczniki mają stawić się na komisji wojskowej i wstępować w szeregi Ludowego Wojska Polskiego (jednostki tego wojska utworzone już były na terenie Sowietów uprzednio). Byliśmy tym zszokowani, bo polskie społeczeństwo chciało odbudować Polskę przedwojenną. Koło mnie stał lwanczuk Stanisław i mówi do mnie: trzeba go zastrzelić. Byliśmy bezradni wobec tej zdrady Kawęckiego i nie wiedzieliśmy, co w takiej sytuacji mamy począć. Zameldowaliśmy o tym dowódcy rejonu por. Piotrowi Waszczukowi z Gęsi pytając go jak zachować się wobec jego rozkazu. Waszczuk polecił nie wykonywać tego rozkazu. Kawęcki objął zaraz stanowisko starosty powiatowego w Radzynie Podlaskim, ponieważ miał tajny kontakt z Armią Ludową, jeszcze przed wojną był przekonania marksistowskiego. Miał przez to wgląd w cały powiat radzyński.

My jednak postanowiliśmy, że nasze struktury będą nadal działały według rozkazu rządu londyńskiego. Mieliśmy jednak pierwsze nieszczęście. W tym czasie zmarł dowódca naszej placówki kapral Kozak Stanisław ps. „Wiąz”. Podczas starcia niemiecko-sowieckiego w Dawidach w niedzielę 23 lipca, cały dzień sączył deszcz, była długa strzelanina, a on w tym czasie schronił się do rowu, gdzie przemoknął i przeziębził się. Już przedtem leczył się, a tu nie było jeszcze zorganizowanej służby zdrowia, w sierpniu 1944 r. zmarł. Po nim dowództwo placówki w Dawidach objął Kuniszuk Franciszek syn Szymona, ja byłem jego zastępcą.

Gdy wybuchło Powstanie Warszawskie została u nas ogłoszona częściowa mobilizacja w ramach akcji „Burza”. Z naszej placówki poszło kilku chłopców do Kąkolewnicy, gdzie formował się 35 pułk piechoty Armii Krajowej ponieważ poszedł dowódca placówki Franciszek Kuniszyk, mnie została powierzona opieka nad resztą placówki, żeby w razie dalszej mobilizacji zorganizować resztę naszych żołnierzy. Po tygodniu wszyscy wrócili do swoich domów, bo gdy ten pułk był już zorganizowany, przyjechali sowieccy oficerowie i kazali poddać się pod ich rozkazy, bo innej walki nie ma. W nocy nasze dowództwo nakażało po cichu rozejść się do domu. Teraz zaczęło się aresztowanie. Zaczęli ścigać akowców i tych, co nie stawili się do wojska. W pierwszym nalocie na dzień Wszystkich Świętych zostali aresztowani w Dawidach: Kozak Stanisław syn Antoniego (Wanulików), Dzyr Józef syn Jana (Morozów), Dzyr Marian syn Piotra (zwanych Kłoczje), Łobejko Józef (Mitrulów) i Saczuk Piotr pochodzący z Zaliszcza, który wówczas pracował w Dawidach pomagając na roli.

[Samochód komunistycznego Urzędu Bezpieczeństwa stał rankiem 1 listopada 1944 r. na gościńcu w kierunku Jabłonia. Tutaj przyprowadzili aresztowanych i stąd ich odwieźli do Lublina na Zamek, gdzie było więzienie. Ja posłany przez swoją matkę byłem obecny przy odjeździe. Saczuk Piotr był mi dobrze znany, wsiadając do samochodu więziennego i powiedział mi: „Do widzenia Stachu”. Zaraz powrócił Józef Łobejko jako pierwszy zwolniony, Kozak Stanisław, Dzyr Józef i Dzyr Marian po bardzo długich i kłopotliwych staraniach i po interwencji u Kawęckiego, zaś Saczuk Piotr zmarł na Sybirze, nie wytrzymał zaawansowanej choroby płuc – przyp. x. Dzyr)

U nas w Dawidach było urządzone przez Sowietów polowe lotnisko na gruntach folwarku Lubno (za gruntami dawidowskimi, od drogi, która prowadzi do Gęsi w stronę gruntów jabłońskich). We wsi było pełno sowieckiego wojska i pełno NKWD. Ogłosili drugi termin stawienia się na komisję wojskową, za dotychczasowe ukrywanie się nic nam nie grozi. Pojechaliśmy do Radzyna licząc na to, że spotkamy się ze starostą Kawęckim, naszym dawnym dowódcą, to on nas obroni przed poborem. Kawęcki kazał nam stawić się na komisję, to ona o tym zadecyduje, ale na pewno wcielą nas do wojska. Jednak my nie usłuchaliśmy go i na komisję nie stawiliśmy się. Wróciliśmy do domu i odtąd bardziej musieliśmy się ukrywać. Dużo naszych poszło do Polubicz, Radcza i do innych wiosek, gdzie kto miał znajomych lub krewnych.

W Parczewie władzę objęli Żydzi, którzy byli w Makoszce w oddziałach AL lub w sowieckiej partyzantce (niewolnicy sowieccy z 1941 r. którzy tu ocalili). Z Parczewa często wpadali do wsi Kolano. Była tam silna organizacja AK, BCh i NSZ. Tam zabili kilku naszych żołnierzy. Nie mieliśmy łączności z naszym dowództwem rejonu w Gęsi. Tam było też dużo aresztowań, kto ocalał ukrył się, gdzie kto mógł, także uciekali do wiosek mniej zagrożonych, gdzie nie było silnej konspiracyjnej organizacji. Władze komunistyczne stworzyły w październiku Milicję Ludową a ci nas śledzili. Zaraz był drugi nalot NKWD. Zostali aresztowani Kowalczyk Stanisław, Kozak Stanisław syn Celestyna i Lewczyk Stanisław, sytuacja stała się beznadziejna. Radziliśmy się wspólnie, w jaki sposób stworzyć oddział leśny dla samoobrony. Udałem się z Iwańczukiem Stanisławem i Kuniszykiem Jó-

zefem do Kolana, aby skontaktować się z naszymi. Kolano było wystraszone, trudno było kogo z naszych spotkać. Wieczorem matka Stanisława Kaliszuka odnalazła syna. Był on również mocno wystraszony po tych najazdach parczewskich Żydów. Porozmawialiśmy chwilę, czy są możliwości do zorganizowania takiego oddziału. On był przeciwny takiej koncepcji, twierdził, że zginie dużo kolegów, gdy wytropią oddział, gdyż wszędzie pełno jest szpiclów. Najlepiej będzie chronić się pojedynczo, bo nie rzuca się tak w oczy. Wracaliśmy na Gęś mając nadzieję tam spotkać kogoś z naszych. Chcieliśmy zasięgnąć informacji od znajomej nam dziewczyny Gęsieńskiej, ale nikt nie wie, gdzie mogą się ukrywać. Nie otrzymaliśmy żadnej informacji i w nocy powróciliśmy do domu. Od strony łąki Ług weszliśmy na strych nad obórką, zakryli się w sianie, bo straszno było wchodzić do domu.

We wsi całą jesień i z początkiem zimy pełno było ruskiego wojska z jednostki lotniczej i po wsi przez całą noc chodziły sowieckie patrole. Sytuacja stawała się coraz groźniejsza. W każdym domu kwaterowało pełno Sowietów, mieścili także rannych przywożonych z frontu nad Wisłą. Była też obsługa lotniska, wartownicy samolotów, rozlokowywali po domach kuchnie polowe. Niektórych Sowietów znaleźliśmy i mieliśmy upewnienie, że są to enkawudziści. W naszym domu kwaterowało czterech lotników – trzech lejtantów i jeden kapitan. Gdy powrócili z akcji bojowej, chcieli koniecznie wódki, by opić akcję. Gdy pewnego razu powrócili, to zastali mnie w domu, bo przed nimi ukrywałem się. Wtedy też koniecznie chcieli wódki. Ja oświadczyłem, że dam bardzo dobrej wódki, ale niech powiedzą, gdzie dzisiaj bombardowali. Oświadczyli, że powiedzą i zasiedli za stołem. Wtedy pytam: gdzie dzisiaj zrzucaliście bomby. Ci trzech lejtanci mówią do kapitana: ty kapitan eto skaży. Kapitan wyjął pistolet i zagroził mi, że jeśli komu powiem, to mnie zastrzeli na moim podwórku, żeby wszyscy wtedy pomyśleli, że to jest kłamstwo. I zaczyna opowiadać, jak bombardowali Warszawę, bo tam burzuje wzniecili powstanie. Warszawa goryt, zaraz upadnie. Taki mieliśmy rozkaz. Tak dowiedziałem się prawdy, kto naprawdę zniszczył Warszawę, nie dokonali wszystkiego Niemcy, bo ci likwidowali powstańców, gruzy pozostawili Sowietci. To jest dla nas najlepszy dowód, jacy to byli „przyjaciele”, a tak czy sto przez lata wymawiali to miłe słowo.

W następnym czasie sytuacja stawała się bardziej groźna – front nie posunął się za Wisłę, w Warszawie już dawno nie ma powstania, jest w posiadaniu Niemców, a u nas rotacja wojsk sowieckich. Zmieniali się żołnierze z lotniska polowego na dworskich polach i nie wiedzieliśmy już, który we wsi jest żołnierz, a który enkawudzista i kogo aresztują. NKWD nadał wpadało i kogoś aresztowali. Pod koniec listopada 1944 r. aresztowani zostali: Milaniuk Stanisław syn Jakuba, Kropiwiec Stanisław syn Michała i Kozak Jan syn Celestyna (Milaniuk Stanisław po przesłuchaniu został zwolnionym, Kropiwiec Stanisław był wywieziony na Sybir, powrócił w 1946 r., Kozak Jan, jako szwagier Piotra Waszczuka z Gęsi, dowódcy tutejszego regionu, został wysłany karnie na front, powrócił po zakończeniu wojny).

W tym czasie nowa władza dała jeszcze raz wezwanie do stawienia się na komisję poborową i że nie będzie żadnych skutków karnych za niestawienie się dotychczasowe.

W tym czasie przyjechał Czesław Kawęcki z Radzyna, pełniący funkcję starosty powiatowego, kolaborant sowiecki. Przyjeżdżał często do Dawidów samochodem, gdyż żona jeszcze nadal uczyła w szkole, dopiero teraz posyłał swoich dorosłych już synów jak powiadali do wojska, wtedy ja ze Stanisławem Iwancukiem poszliśmy do niego z zapytaniem, czy za ten opór nie wywozą na Sybir, gdy stawimy się na komisję. A może nas zastrzelą? On nam wyjaśnił tak naszą sytuację: Anglia i Francja za daleko, a Pan Bóg za wysoko, nie macie na kogo liczyć, idźcie do wojska, a włos z głowy wam nie spadnie. Ukrywać się we wsi nie było już dalszej możliwości – we wsi nadal pełno Sowietów, jest już listopad, zbliża się zima. Zrobiliśmy naradę i według podjętej decyzji pojechaliśmy na komisję do Siedlec. Pojechał z nami zastępca wójta Szypulski Józef i oprócz poborowych dwóch ochotników – Lewczuk Franciszek i Łobejko Józef, którzy byli czynnymi akowcami i doszli do wniosku, że sami się nie ukryją. Do stacji kolejowej w Milanowie odwieźli nas furmankami. Gdy zebraliśmy się we wsi koło Ścianki, to również przybyli do nas nasi najbliżsi, był wielki płacz, a dla niektórych było to ostatnie pożegnanie. Z Milanowa towarowym pociągiem dojechaliśmy do Łukowa. W Łukowie wysiedliśmy, bo trzeba poczekać na następny pociąg. Na bocznych torach stał pociąg z transportem siana, zawiadowca powiadomił, że jedzie w kierunku Siedlec. Powłaziliśmy w to siano i zajechaliśmy do Siedlec. W Siedlcach zastępca wójta zaprowadził nas na komisję. Tam odbyło się wszystko nawet szybko, nie było badania lekarskiego. Wszyscy zostali przyjęci. Nie przyjęli Józefa Łobejki, który poszedł na ochotnika – pójdzie do wojska, gdy będzie pobór następnych roczników. Lewczuk Franciszek, drugi ochotnik, poszedł jednak z nami. Józef Łobejko był poważany przez Kawęckiego za swoją odwagę, pewnie miał wobec niego jakieś inne zamiary, bo i po pierwszym aresztowaniu został szybko zwolniony.

Wsiedliśmy w Siedlcach do towarowego pociągu, a z nami jeden wojskowy, który dokonał ewidencji i jechał z nami. W Lubartowie kazał nam wysiadać i przekazał nas innemu wojskowemu, bo tam mieściło się dowództwo pułku zapasowego. Ten następny wojskowy zaprowadził nas do miejscowości Serniki, bo tam była pierwsza kompania pierwszego pułku zapasowego. W Sernikach nad rzeką w starej piekarni były prycze, dali nam sienniki, kazali iść do dworskiej sterty i napchać słomy w sienniki. Byliśmy tam 3 dni, a potem dokonali selekcji. Większą część odesłali do Kąkolewnicy, a część do odległego o 300 m pomieszczenia ogrodnika. Ci, którzy poszli do Kąkolewnicy, po kilku dniach wrócili z powrotem, ale przydzielili ich do Woli Sernickiej o 3 km od nas. Codziennie chodziliśmy na ćwiczenia. Obowiązywał przedwojenny regulamin. Rano była pobudka, do rzeki umyć się, apel poranny, modlitwa, *Kiedy ranne wstają zorze*, potem śniadanie, wymarszcz na ćwiczenia. O godzinie 12 obiad i znowu ćwiczenia. Wieczorem apel, modlitwa i *Rota*. W niedzielę wszyscy szli do miejscowego kościoła na nabożeństwo. Było 3 Żydów, modlitwa i nabożeństwo w kościele nie obowiązywało ich. W wigilię Bożego Narodzenia mieliśmy wspólny opłatek i śpiewaliśmy kolędy. Przybył do nas zaproszony miejscowy ksiądz proboszcz.

Po świętach Bożego Narodzenia zostaliśmy przewiezieni do szkolnej kompanii podoficerskiej szkoły 82 młodzieży. Tutaj była większa dyscyplina i ciężkie ćwiczenia. Był

to skrócony kurs szkoły podoficerskiej i trzeba było nadrabiać. W takiej sytuacji byliśmy mocno zmęczeni.

Na Sylwestra oficerowie urządzili bal. Przyszedł dowódca kompanii por. Stradomski informując, że chcą urządzić inscenizację. Ja będę Starym Rokiem, drugi będzie Nowym Rokiem. Stary Rok będzie przekazywał o północy następnemu rokowi Nowemu Rokowi. Ma przypomnieć Nowemu Rokowi, że tereny skąd oni pochodzą za Bugiem zostały odcięte od Polski, ich rodziny są za granicą (oficerowie byli kresowiakami), ażeby Nowy 1945 r. rok wcielił ich do Polski, żeby Polska była jak niegdyś od morza do morza, żeby była silna i żeby żaden wróg od wschodu i zachodu nie odważył się naruszyć ich granic. Nowy Rok polecenie to przyjął i obiecał w miary możliwości spełnić je. Potem zaprosili nas na poczęstunek. Dowódca pułku był Sowieciem i nasz dowódca kompanii powiedział mi, że takie wypowiedzi nie podobały mu się i mogą być aresztowany, ale on będzie się starać mnie ostrzec. Przeciągnęło się więcej jak miesiąc, przyszedł do mnie jeden Rusek, który zawsze między nami szpiclował. Gdy piliśmy wódkę, to zawsze przyszedł, aby go poczęstować, albo dostaniem paczki, to chciał dostać coś do zjedzenia. Teraz oznajmił, że ma rozkaz mnie aresztować. Zdjął pas i mówi, że poprowadzi mnie do aresztu. Ja mówię do niego: *Niper* (bo tak się nazywał), *to może jeszcze raz na pożegnanie wypijemy takowsze byliśmy druzja. – Nu czemu nie, jak masz pieniądze to pójdziem.* On bardzo lubił wypić. Ja go tak częstowałem, że on zasnął i upadł ze stołu. Gdy zobaczyłem, że on jest nieprzytomny, poszedłem szybko do kolegi Janka Wołowika z Rudna i Lewczuka Franciszka z Dawidów i wszyscy trzej postanowiliśmy uciekać do domu.

Na temat ucieczki nieraz rozmawialiśmy, mając to na względzie, że trzeba będzie jeszcze kontynuować dalszą walkę o niepodległość na naszym terytorium, tym bardziej, że Sowieci już poszli z Dawidów za frontem po zdobyciu Warszawy. Rząd londyński zdecydował, jak ma wyglądać dalsza walka o niepodległość Polski. Teraz, kiedy już Sowieci nie ma w Dawidach, nadeszła do nas wiadomość od dowódcy placówki Franciszka Kuniszyka, że możemy się organizować, dalej walczyć z nowym wrogiem ze wschodu.

Umawialiśmy się, że jak będziemy uciekać to razem. Lewczuk Franciszek w tym czasie był na warcie i tylko zszedł z posterunku. Chciał iść z karabinem, lecz powiedziałem mu, aby go zostawił, bo gdy nas schwytają to będzie większa odpowiedzialność, wtedy na pewno rozstrzelają, my nie obronimy się jednym karabinem, a narobimy bardzo dużo hałasu, a wszędzie pełno wojska i nas zatrzymają. Tutaj należy wyjść cichaczem, a w domu broni nie brakuje. Wyszliśmy na koniec wioski, stał tam krzyż, przeżegnaliśmy się, pocałowaliśmy krzyż i prowadź nas, Panie Boże. Zaraz były łąki, drogą było strasznie iść, omijaliśmy teren łąkami, a na tych łąkach ludzie kopali torf. Torfowiska były wąskie a długie, omijać je, to było za daleko, staraliśmy się je przeskoczyć, ale to nie zawsze się udawało. Jak jeden przeskoczył zaraz wyciągał ręce, ażeby go szybko wyciągnąć z wody. Pomimo mrozu to sitowie było niezamarznięte. Do pasa i nawet powyżej wszystko było mokre, ale szybko szliśmy dalej, wyszliśmy na pole, było trochę śniegu, chociaż księżyc nie świecił, ale było bezchmurnie i niebo było widoczne i łatwiej było nam zorientować się w terenie. Odnaleźliśmy na niebie Gwiazdę Północną, a my musimy iść na północ i tak

szliśmy przez pole w kierunku domu. Gdy minęliśmy Lubartów, weszliśmy na tory kolejowe, minęliśmy stacje Tarło, Brzozowice, Gródek i zbliżaliśmy się do Parczewa. Przed Parczewem był most kolejowy, na moście była wartownia. Zbudowali ją Niemcy, bo most był wysadzany w powietrze przez partyzantów i musieli go pilnować, nie pomyśleliśmy o tym, że mogą go teraz pilnować Sowietci, a faktycznie tak było. Gdy weszliśmy na most, oni posłyszeli, że idziemy, gdyż buty wojskowe były wybijane gwoździami i po żelazie było dobrze słychać nasze kroki. *Ruki w wierch* - krzyknął ku nam Ruski wartownik. Podnieśliśmy ręce do góry, ja szedłem z tyłu. Zapytał: *kto idiota*, odpowiedzieliśmy: *Polskie żołdacy*. Odpowiedziałem, że idziemy na przepustki do matki, jedziemy na front, tu mamy krótkie prostojenie, do domu mamy blisko, idziemy pożegnać się. Zapytał groźnie Sowiec czy mamy przepustki. Odpowiedziałem, że mamy. Rozkazał pokazać, wyjąłem zza rękawa jakiś list i mówię: czytajcie. Było ciemno. Zobaczył, że trzymam przed nim kawałek papieru i nie brał do swej ryki. Zapytał czy mamy zapalić? Mamy. Wyciągnąłem z kieszeni garść machorki. Skręcił w gazety dużego cygara i zaczęliśmy rozmawiać jakie są wiadomości z frontu, pytałem też, gdzie jest ich wartownia i w tym momencie podałem jeszcze dwie garście machorki, bo tylko co dostaliśmy bakuna (tytoniu), ja go pokroiłem i wsypałem do kieszeni. Szczęście, że ten tytoń nie zamoczył się w tych rowach, bo to zdradziłoby nas. On w tym czasie wszystko nam powiedział, że wartownia jest niedaleko we wsi koło torów i tam zmiana odpoczywa. Dowiedzieliśmy się, w którą porę będzie dokonywać się zmiana. Powiedzieliśmy mu *do swidania* (do widzenia) i poszliśmy dalej. Zeszliśmy z torów, aby nie spotkać się z pozostałymi wartownikami i poszliśmy polem w dalszą drogę, aby nie natrafić na ruski patrol. Parczew omijaliśmy od strony Stępkowa, potem doszliśmy do Jesionki i Czeberak. Przyszliśmy do Horodka (las Gęsieński od strony Rudzieńca). Chcieliśmy prostować drogę przez las, ale zbłądziliśmy i powtórnie przyszliśmy w to miejsce. Wtedy poszliśmy łąką między Czarnym Lasem a Horodkiem, przyszliśmy razem do Rudzieńca. Wołowik poszedł do Rudna, a my do Dawidów.

Gdy przyszedłem do domu zastałem matkę i siostrę Hankę. Zaraz się przebrałem, zjadłem i poszedłem na górę odpoczywać, gdyż w mieszkaniu byłoby niebezpiecznie, bo w każdej chwili mogłoby zaraz wpaść NKWD w poszukiwaniu i aresztować. Byłem zmęczony, spałem cały dzień, ale po południu ludzie dali nam znać, że ktoś we wsi pytał się o mnie. Szarówką przyszli już do mieszkania. Ja z góry wyskoczyłem przez okno. Buty miałem ciasne, bosy poza stodołami przybiegłem do Gomułków do mojej siostry Józii. Oni byli bardzo wystraszeni, nie mogłem u nich się zatrzymać.

Postanowiłem udać się do Polubicz do swego stryja Antoniego, ale teraz nie mogłem tam iść, bo byłem mocno zmęczony całonocną podróżą, więc postanowiłem udać się do Radcza do ciotki. Siostra Józia ze szwagrem wyszli za mną za swoją stodołę, tam pożegnałem się z nimi i poszedłem przez pola do Radcza.

Gdy przyszedłem do ciotki, wszyscy byli w domu, serdecznie mnie przyjęli i w ich domu przenocowałem. A w tym czasie, gdy szarówką przyszli po mnie do naszego domu, to pierwszy raz obeszli się dość grzecznie. Powiedzieli, żebym jechał z nimi i nic mi nie będzie grozić. Matka tłumaczyła się, że mnie nie widziała i nie wie o tym, że uciekłem.

Szukali mnie u siostry Bieleckiej, potem u siostry Gomółkowej. Następnie polecili sołtysowi dać furmankę i wieźć ich do Polubicz do stryja. Na furmankę był wyznaczony Dzyr Piotr, pytali go ,czy mam siostry w Radczu. Piotr odpowiedział, że ja mam siostry w Dawidach, a więcej nigdzie nie ma. Przyjechawszy do Polubicz, zrobili przeszukanie u stryja, ale mnie tam nie było. Gdy wrócili do naszego domu, to powiedzieli żebym zgłaszał się do wojska, nic mi nie będzie grozić i odjechali. Gdy oni jechali do Polubicz, wtedy siostra Hanka przyszła do Radcza i o wszystkim mnie powiadomiła. Ja u ciotki nie nocowałem już drugą nocą, lecz u sąsiada Grenia. W dzień siedziałem u Kościuków, przez 3 noce nocowałem u Wacka Grenia. W Radczu także ukrywali się chłopcy, którzy byli na liście do aresztowania. Przyszedł do mnie Franciszek Kuniszyk i poradził mi, że należy nocować dalej od rodziny, bo jak przybędą do ciotki, mogą wpaść do sąsiadów.

Poszliśmy obaj do Romana Szwaja na samym końcu wsi od tzw. Medwiedzi. Tam blisko krzaki, to nawet uciekać będzie lepiej. Tam nocowałem 6 dni. W dzień młóciłem żyto cepem w stodole, wieczorem siedziałem w mieszkaniu. Były tam dwie dziewczyny, czas szybciej wieczorami schodził. Na noc ścielili na stołki i tak spałem. Potem 3 dni byłem u Pajdosza, ale tam był zimny pokój i było bardziej zimno niż w stodole w sianie. W dzień pomagałem rżnąć i rąbać drzewo.

Za dwa tygodnie po tym pierwszym dochodzeniu w Dawidach, przyjechała do naszego domu w Dawidach druga grupa z jednostki wojskowej. Był sierżant Matejaszczuk i jeszcze jeden. Ten był bardzo bezczelny i nie przebierał w środkach. Gdy zrobili przeszukiwanie w domu i nie znaleźli mnie, bili mocno moją matkę i siostrę Hankę, aby powiedziały gdzie ja się ukrywam. Bili ich kolbą karabinu, przymykali palec w drzwiach, mówili, że muszą się przyznać. Potem mówili, że zabiorą ich obie. Gdy siostra usłyszała, to uciekła i schowała się na wyszki w oborze w słomę. Przeszukali domy u obu sióstr. Siostrę Józję, co była za Gomółką, także maltretowali, przycinali palec w drzwiach. Gdy im to nic nie pomogło, to powiedzieli, że znajdą u krewnych. Kazali sołtysowi wyznaczyć furmankę i jechać do Polubicz. Gdy wyjechali za wioskę, kazali matce zejść z wozu, przywiązali ręce do wozu i kazali popędzać konie. Mama nie dała rady szybko biec przez dłuższy czas, przewróciła się i ciągnęli po ziemi. Potem kazali stanąć i znowu pytali, gdzie syn i puścili do domu. Jak przyjechali z Polubicz, to jeszcze zrobili rewizję, gdy mnie nie znaleźli to znowu bili mamę, żeby oddać mundur. Była u nas staruszka babcia, to jest matka mojej mamy Eufemia Sidorczyk, ona podeszła do nich i zaczęła krzyczeć, że za cara jak było u nas prześladowanie unitów, to ruskie tak samo znęcali się. Wtedy zaczęli bić kolbą babkę. Jeszcze dopytywali się matki, jakie ja mam wykształcenie. Mama powiedziała, że do 14 lat chodził do tutejszej szkoły, ale nie chcieli w to wierzyć. Gdy robili rewizję, to spostrzegli, że była w chlewie utuczona świnia. Znaleźli także wódkę kontyngentówkę z czasów niemieckich (bo Niemcy za 1 kwintal oddanego zboża na kontyngent płacili pół litra wódki). Wódkę zabrali zaraz, a świnie zabili i mięso zabrali. Jeszcze raz domagali się ażebym zgłosił się do jednostki i zapewniali, że jak zgłoszę się, to nic nie będzie mi grozić. Jeszcze kazali, aby oddać mundur i po tych represjach odjechali.

Moja siostra Hanka, która wtedy była jeszcze panną i mieszkała razem z moją matką, gdy na ten czas ukryła się, to zaraz uciekła, przysła wkrótce do Radcza i o wszystkim opowiedziała, a ja wtedy poszedłem do Brzozowego Kąta i zatrzymałem się u Nazaruka. Tam siedziałem dwa tygodnie. Jego rodzice trochę obawiali się i prosili, abym z domu nigdzie nie wychodził, aby ktoś nie zauważył, że u nich się przechowuję.

Po dwóch tygodniach przyszedłem do domu, aby zorientować się, co dzieje się w naszej wsi. Dowiedziałem się, że zdezerterował Stanisław Iwańczuk i Józef Chwalczuk. Znowu poszedłem do Radcza i w stodole w sianie zrobiłem sobie pomieszczenie, gdzie w nocy wchodziłem i spałem. W dzień przebywałem u sąsiadów, a wieczorem chodziłem na wieczorki, gdyż tam panny tamtejsze schodziły się na prządki. W Radczu ludzie byli solidni, nikt nie zdradził, że się tu ukrywamy. W Radczu schronił się również Iwańczuk i Chwalczuk u swoich krewnych, stale spotykaliśmy się. Czekaliśmy wiosny ustalając, że jak będzie niebezpiecznie, to stworzymy zbrojny oddział i będziemy się bronić. Było dość spokojnie, więc wpadałem do domu. Nocowałem u Gomółków w stodole. Zima dawała się we znaki, pomimo że mróz ciągle trzymał, to jednak w mieszkaniu niebezpiecznie było nocować. Raz u Gomółków wlałem na górę (strych nad mieszkaniem) i zauważyłem, że można tam urządzić kryjówkę. Dom kryty był strzechą, do domu była przybudowana przybudówka z poddaszem. Obie strzechy tam się łączyły więc wtoczyłem się tam i spałem. Było tam jednak niewygodnie, ciasno, nie można było ruszyć się. Przez dwa tygodnie siedziałem w stodole w sianie, nie wychodziłem wcale, aby ktoś nie zauważył, gdzie ukrywam się. Gdy był większy mróz, to przenosiłem się do obory. Był tam duży zasiek na siano, gdy krowa jadła to mnie ogrzewała.

W takiej sytuacji mojego ukrywania się skontaktował się ze mną Iwańczuk Stanisław. Przyszedł do mnie, gdy siedziałem w oborze u krów. Wtedy szwagier Gomółka Józef przyniósł nam gazety. Przez małe okienko wpadało do obory światło, więc czytaliśmy tam gazety. Była tam wiadomość, że niedługo odbędzie się konferencja do wolności Polsce, że Sowietnicy wyjdą z Polski, że odbędą się demokratyczne wybory i będziemy mieć naprawdę wolną Polskę. Zarysowała się nadzieja, że może niedługo skończy się nasza tułaczka, gdy Ameryka podyktuje swoje warunki, to Sowietnicy będą musieli je wypełnić.

Zbliżała się wiosna, było nas coraz więcej dezertersów z komunistycznego wojska (w Dawidach w szkole nowa nauczycielka Eugenia Lasowska wyjaśniała dzieciom, że Polska jest teraz demokratyczna, ale nie są patriotami ci, co uciekli z wojska). Było to chyba na początku marca. Wybrałem się, aby pójść do Radcza, bo tam nie było nalotów ruskiego NKWD czy polskiego UB. Tam można było wieczorem swobodnie chodzić po wsi i pójść na wieczorki. Nikt nas nie skarżył i nie rozprowadano, że się tam ukrywamy. Wyszedłem wtedy za stodoły. Było to bardzo rano, ledwie świtało, widzę jak gościńcem idzie kolumna wojska, zaraz otoczą wioskę i wszystkich nas pochwycają. Byłem przyzwyczajony do różnych niespodzianek, nie wpadam w panikę, miałem przygotowaną kryjówkę, czekam na moment, kiedy rozpoczną działania. A to szła cała jednostka z Kąkolewnicy. Okazało się, że stamtąd zdezerterował cały oddział. Z tej jednostki byli już dawidowscy chłopcy w domu, zaraz skontaktowali się z nimi. Przyszedł jeden oficer do Chwalczuka, który wówczas

był pierwszym moim sąsiadem, żeby im udzielić pomocy, bo chcieli skontaktować się z naszym dowódcą rejonu. Sarni nie mogli rozeznaczyć, czy można tutaj działać jako samodzielna grupa operacyjna. Ten dzień był dla nas dniem wolności. Wszyscy rozkwaterowali się po domach. Ludzie przygotowali ciepłe posiłki. Na wszystkich drogach były rozstawione warty. Wysłaliśmy gońca do Gęsi po dowódcy rejonu Piotra Waszczuka, ale nie mogli go tam odnaleźć. Przyszedł jego zastępca podchorąży Czesław Sz waj, Niewęgłowski Stanisław zastępca placówki i Chwalczuk Józef. U mnie w domu zrobiliśmy naradę z dowódcami jednostki wojskowej. Doszliśmy do wniosku, że takiego oddziału nie mamy możliwości zostawić tutaj, najwyżej kilka osób, bo sami się ukrywamy, a tyle ludzi nie da się ukryć, najwyżej po kilku żołnierzy w każdej wiosce, ale musieliby rozlokować się w całej okolicy. Zastanawialiśmy się, czy nie można zrobić ataku na Parczew, rozbić więzienie i wypuścić więźniów, ale oni nie mieli amunicji, jedynie tylko tyle, co w magazynkach, my również nie dysponowaliśmy dużymi zapasami. Do takiej akcji potrzeba mieć dużo amunicji, bo mogą ich osaczyć i wybić lub wziąć do niewoli. Oni postanowili przedostać się za Bug w swoje strony, a byli to wileńszczacy i uważali, że w swoich stronach lepiej sobie poradzą i po tej naradzie poszli dalej.

Gdy oni odeszli, zaraz wpadła jednostka UB czy KBW, schwytali jednego żołnierza, który spał, gdy tamci odchodzili. Ten tłumaczył się, że on nie wie co się dzieje, kazali iść, to szedł razem dlatego, że go zabrali razem. Teraz ubowcy zabrali tego żołnierza.

U nas pozostało kilku chłopców – Wacek, Poldek, Krajewski, drugi Wacek i oni także ukrywali się razem z nami. Tymczasem zbliżała się wiosna, wojska sowieckie wycofały się za Wisłę i szykowały się do ostatecznej ofensywy nad Odrą. Kilku chłopaków dawidowskich, którzy nie zdezerterowali, poszli razem z Sowietami na front. Trzech z nich zginęło: Maksymiuk Józef, Stefaniuk Józef i Matczuk Feliks. Powrócił po wojnie Szypulski Władysław, co mieszkał nad sadzawką i Szypulski Jan, którego we wsi nazywali Król albo Chrapas Tabaka. NKWD i UB już tak często nie najeżdżało, aby aresztować. Można było więcej przebywać w domu, tylko na noc szedłem do swej kryjówki w stodole u Gomółków albo u Bieleckiego.

W kwietniu wyszedł z mocnego ukrycia dowódca rejonu Piotr Waszczuk z Gęsi ps. „Rola”, zebrał nas i przedstawił nam plan naszego działania: wspólnie jako organizacja możemy lepiej działać jako samoobrona. Na dowódcę plutonu przedstawił Kuniszyka Franciszka ps. „Wicus”, na dowódcę placówki Kozaka Stefana ps. „Modrzew”. Oświadczył, że przywiezie nominacje od dowództwa okręgu lubelskiego, że będziemy działać jako Ruch Oporu Armii Krajowej pod skrótem ROAK. Poinformował, że generał Okulicki rozwiązał Armię Krajową, że będziemy tworzyć nową organizację polityczno-wojskową, podziękował nam, że dotrzyaliśmy wierności złożonej przysiędze wojskowej dla prawowitego Rządu Drugiej Rzeczypospolitej w Londynie, że nie poszliśmy walczyć przy boku drugiego wroga ze wschodu, niech sami wykrwawiają się nasi wrogowie, bo nie przyszło nam wyzwolenie, lecz druga niewola, a nasze siły przydadzą się do walki o wolną Polskę, że przyjdzie chwila dziejowa, że będziemy wolni. Zaraz zorganizowaliśmy warty, ażeby w

nocy czuwać czy nie nadjeżdża UB ze strony Radzyna. Wartownik Józef Sidorczuk powiadomił nas, powiadaliśmy jeden drugiego, nikt nie został aresztowany.

W rejonie został utworzony stały oddział lotny, składający się z wileńszczaków i kilku naszych z terenu. Do oddziału należeli Poldek, Wacek, Krajewski, drugi Wacek, z terenu zaś Pioterek, Skawiński, Kozioł, Władek Hordyjuk, Robek. Dostali oni najlepszą broń i byli do dyspozycji dowódcy rejonu Waszczuka. Oddział ten służył także do zwalczania wszelkiego rodzaju złodziei i band rabunkowych. Po wojnie było dosyć broni i takie bandy szerzyły się podobnie jak i było za okupacji, kiedy to bandy rabunkowe podawały się za partyzantów i rzucały na partyzantkę posądzanie o rabunek.

Duża grupa rabunkowa była na terenie Polubicz, bo tam była słaba organizacja konspiracyjna i tam swobodnie grasowali. W maju 1945 r. obrali sobie meliny u Ochaba Tadeusza, który już ze dwa lata wyprowadził się ze wsi Dawidy na Kolonię koło Wedrzyna, mieszkał między lasami. Gospodarz Ochab powiadomił nas cichaczem. Oddział nasz raniutko otoczył dom. Dwóch z tej bandy zostało zabitych, jeden z nich zdołał uciec, ale później został zlikwidowany. A z naszych to Władek został ranny w rękę. [Gdy tych zabitych na polu u Ochaba dwóch bandytów wieziono na furze, przykrytych słomą, to dawidowskie dzieci szkolne widząc to opowiadały po wsi, że dzisiaj na wozie w słomie wieźli świnię, ale dlaczego wystawały im ludzkie ręce? A komunistyczny ówczesny policjant wolał do jednego z tych zabitych tymi słowami: Opieś się dużo ludzkiej krwi, ale dzisiaj i z ciebie niemało pociekło! – przyp. x. Dzyr].

Nasze siły rosły z każdym dniem, nasza placówka była prężna, do wsi nie pokazywała się miejscowa Milicja Obywatelska, ażeby ich nie rozbroić. Ale kontaktu z nami nie nawiązywali. W Jabłoni silna była organizacja partyjna ORM (Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej), ale z nami liczyli się, ażeby ich nie zaatakować, rozbroić, czy nawet zlikwidować, to te partyjniaki nam sprzyjali.

Gdy zbliżało się referendum, rozprowadzaliśmy ulotki i rozklejaliśmy plakaty, ażeby głosować trzy razy NIE. Także na murach i domach wypisywaliśmy hasła: *Głosuj trzy razy NIE*. Owe referendum odbywało się przy końcu czerwca 1946 r., głosowało się w pałacu w Jabłoni. Nasi pilnowali, aby odbyło się demokratycznie, bez oszustwa. Wieczorem nasi byli przy urnie, kiedy obliczano głosy, aby obliczanie było sprawiedliwe. Na postawione pytania na pierwsze dwa było 90 parę procent NIE, a na trzecie trochę mniej. I tak samo było w naszej okolicy. Jednak władza komunistyczna ogłosiła, że było dziewięćdziesiąt parę głosów oddane na wszystkie trzy pytania w odpowiedzi Tak.

NKWD nigdzie się nie pokazywało, a UB trzymało się tylko w Radzynie. Kawęcki także od lata 1945 r. nie pokazywał się w Dawidach, od momentu kiedy jeden z naszych zaatakował go zbrojnie, gdy przez wieś jechał w taksówce. Chciał go zlikwidować za jesienne i zimowe łapanki, ale pożałował szofera.

Na terenie powiatu włodawskiego krążył oddział lotny „Jastrzębia”, tak iż UB nie mogło poruszać się w tym terenie. We wrześniu 1945 r., gdy był odpust w Jabłoni, to przyjechało tam kilku ubeków. Trochę mieli zatarg z naszymi chłopcami, ale jakoś przelękli się i wycofali. Ktoś zawiadomił chłopców z naszego stałego oddziału i pojechali do Ja-

blonia, aby ich rozbroić. Z Jabłonia jechał nasz dowódca plutonu Franciszek Kuniszyk naprzeciwko tego oddziału. Było ciemno. Pioterek krzyknął: *Stój!* Kuniszyk Franek jechał szybko i nie mógł od razu zatrzymać się. Ten strzelił z automatu i zranił Kuniszyka przez górną część płuca. Ja i Iwańczuk Stach byliśmy niedaleko, usłyszeliśmy jak zajęczał, przysiliśmy i wnieśliśmy go do Piotra Matczuka do mieszkania, a rano wysłaliśmy furmankę po lekarza do Parczewa. Lekarz obejrzał go i skierował do szpitala w Białej Podlaskiej. Jego brat Józef Kuniszyk zawiózł go do szpitala i przez miesiąc w tym szpitalu przebywał na leczeniu, ale potem na płucach sformował się duży guz, który pękł, nastąpił krwotok i wskutek tego Franciszek Kuniszyk zmarł. Był to dla nas wielki cios, bo był to człowiek odważny, energiczny, oddany dla konspiracji. Po jego śmierci ta funkcja, którą on pełnił, została przekazana mnie.

We wrześniu 1945 r., kiedy po Konferencji Poczdamskiej rozwiązano dawne struktury, powstała organizacja społeczno-polityczna „Wolność i Niezawisłość”, która miała zadanie podejmować dalsze walki o całkowite wyzwolenie kraju. Naczelnym dowódcą został pułkownik Rzepecki. Cała nasza organizacja stała się prężną. Przychodziła prasa konspiracyjna, „Reduta”, czasami „Orzeł Biały”. W prasie były podawane komunikaty, wiadomości krajowe i ze świata oraz rozkazy, polecenia naczelnej komendy zrzeszenia WiN. W dzień poruszaliśmy się swobodnie w terenie, w nocy spaliśmy w kryjówkach. Ja miałem kryjówkę u szwagra Gomółki w stodole. Były dwie stodoły, a pomiędzy stodołami wąskie sutki. Właziłem pod podwaliny, tam wysmykałem dziury w sianie. Gdy wlałem w to miejsce w sianie to zakryłem wejście snopkami z podowiska. Jak w zimie był duży mróz, to nocowaliśmy po domach, gdzie nie było nikogo podejrzanego. W Radzynie i we Włodawie znajdował się duży posterunek UB i NKWD i było wszędzie zorganizowane ORMO, ale ci ostatni siedzieli cicho, schowali głowy w piasek. Członkowie komunistycznego PPR nie dawali znaku swej przynależności, żeby się nam nie narazić. Jeśli ktoś podnosił głowy, to jedyną karą, jaką można było zastosować, to najpierw było upomnienie, a gdy to nie skutkowało, to była chłosta, a gdyby ta nie pomogła to wtedy nawet kula w łeb. Taki środek był zastosowany na szajkę rabunkową na terenie Rudna, która od dłuższego czasu tam działała.

Niektóre posterunki MO działały razem z podziemiem. Był taki posterunek MO w Komarówce Podlaskiej. Posterunek MO w Jabłoni nie wykazywał takiej chęci do współpracy z nami, ale ze względu na swe bezpieczeństwo nie zaczepiali nas. Pewnego razu, a było to w marcu 1946 r., poszedłem z kolegą Franciszkiem Kozakiem na posterunek milicji w Jabłoni z zapytaniem czy nie chcą z nami współpracować? Oświadczyliśmy im, że jesteśmy z lasu, pokazaliśmy pistolet i oświadczyli, że to jest nasza legitymacja. Komendant Mischczuk odpowiada, że chcą z nami współpracować, więc ja mu powiadam, że potrzebna nam jest amunicja. On nam powiada, że bardzo chętnie, damy wam, ale w tej chwili mamy tylko tyle co w magazynkach. Pokazali ruski RKM, że nawet nie cały krążek i także samo w pepeszce. Wzięliśmy po parę garści, a trochę pozostawiliśmy im. Oni szykowali się do kolacji zaprosili nas do stołu. Była tam jakaś dziewczyna. Powiedzieli nam, że jest to narzeczona jednego z nich, mają się zaraz zaślubić. Komendant informuje, że

we czwartek dostaną amunicję, przyjechać wieczorem, niby to będzie napad, trochę postrzelamy, bo będą musieli czymś udokumentować się, że wystrzelali i dadzą nam ile potrzeba. Zjedliśmy kolację, podziękowali i poszli. Na posterunku było dwóch funkcjonariuszy z Jabłonia, powiedzieli, że byli to chłopcy z Dawidów. Wtedy komendant oświadczył, że zaraz ich połapiemy. Wziął furmankę ze stójki, zebrał wszystkich milicjantów i zrobił pościg za nami. Przyjechał na koniec Jabłonia, ale nas już nie znalazł, bo wstąpiliśmy do znajomych dziewcząt w Jabłoniu na wieczorową pogawędkę. Mówi wtedy do swoich, że do Dawidów nie pojedziemy, bo nas pobiją. O takim jego wyczynie byliśmy powiadomieni. Złożył on o tym meldunek do UB w Radzynie, aby nas ścigali. Postanowiliśmy zlikwidować ten posterunek. Było to w niedzielę, kiedy w Jabłoniu była zabawa i było dużo naszych chłopaków i tylko dwóch milicjantów z Jabłonia. Mówię do nich: idziemy zlikwidować wasz posterunek, nie będziecie nas ganiać. Posterunek był w pałacu. Mówię do nich: odsuwajcie bramy. Oni namyślili się i mówią: łamcie bramy, bo jak odsuniemy, to będziemy siedzieć, gdyż posądzą nas o współpracę z wami. Brama była żelazna. Wszyscy całą siłą zaczęli napierać na bramy. Brama najpierw rozkołysała się, a potem pękła. Wszyscy wpadli do środka, chcieli brać broń. Mówię im: broni nie brać, tylko amunicję, a broń niszczyć. Karabiny i automaty bito w podłogę, papiery porozrzucali na podłogę, oblewali atramentem i rwali na kawałki. Gdy wszystko było zdemolowane, wyszliśmy na dwór, któryś zobaczył tablicę z szyldem posterunku, to nie jest polski orzeł tylko wrona, trzeba go oberwać, wyłamali tyczkę i oberwali i rzucili w krzaki. Posterunek w Jabłoniu przestał istnieć. Po Jabłoniu mogli chłopcy poruszać się w pojedynkę. W 1946 roku nawet władza gminna była nam podległa.

Teraz musieliśmy szczególnie czuwać, ażeby nie nadjechał większy oddział UB. W nocy spaliliśmy po kilku w kryjówkach mając broń przy sobie. W którąś niedzielę wczesną wiosną nadjechało UB. Byliśmy u Deneki Antoniego w stodole. Na wiośnię miał on mało słomy, ledwie można było się przykryć. Rankiem przyszedł Deneka po owsiankę, pociągnął widłami, ażeby zebrać trochę pod widły i tymiż widłami pociągnął mnie po brzuchu i odkrył. Bardzo tym wystraszył się i woła: *O Boże mój, toż mało widłami cię nie przebiłem*, i pyta czym cię nie skaleczył, czy co złego się nie stało. Pytam czy na wsi spokój, a on mówi i, że nie wie, wyjdzie i zobaczy. Powrócił zaraz i mówi, że nie ma żadnych ruchów. Było już spokojnie. Gomółka powiadomił nas, że nadjechali, ale nikogo nie wzięli i już z Dawidów odjechali.

W niedzielę 15 lutego 1946 r. była zbrojna potyczka koło Komarówki w niedużym lesie. Na nadjeżdżające UB nasi zrobili zasadzkę i wywiązała się zbrojna walka. UB było dobrze uzbrojone do otwartej walki, nasi nie byli przygotowani. UB nie poddało się, wciąż atakowali z broni maszynowej. Nasi nie mieli amunicji do długiej walki i zaczęli uciekać. W drodze powrotnej zginęło 4 chłopców z naszego stałego oddziału. Nie byli wszyscy od razu zabici, lecz UB dobijało. Zginęli nasi następujący żołnierze: Józef Hordejuk, Tadeusz Skawiński, Jan Kozioł i Piotr. Tego dnia miałem u siostry Anny wesele (wychodziła za mąż za mego kolegę Stanisława Iwańczuka). Wpadł goniec Władysław Lisiecki, ażeby szybko jechać z pomocą. Zostawiłem gości weselnych, zebrałem kilku naszych chłopców, wzięli-

śmy na podwoły sasiada, który miał dobre konie i szybko spieszylismy. Byliśmy w następującym składzie: Ja, Łobejko Jan, Kusiuk Jan, Kozak Franciszek, Kozak Stanisław syn Celestyna. Czekał na nas dowódca 8. rejonu Stelmaszuk „Marny”. Wyzaczył nam stanowisko. Daliśmy kilka serii z broni maszynowej, ażeby zademonstrować, że nie jesteśmy rozbici i zdeterminowani. Razem z nami przybyła grupa z placówki Radcza. „Marny” kazał załadować się na furmankę i zaprowadził nas do Walinny pod sam las do Pawluczuka Czesława. Tam w jego mieszkaniu zakwaterowaliśmy. Przynieśliśmy słomy na podłogę, pokładaliśmy się spać, na dworze stale czuwała warta. Było nas kilku partyzantów z Dawidów, z Radcza i z pobliza. Późnym wieczorem „Marny” odszedł od nas, a mnie powierzył całą naszą grupę. Rano przyszedł do nas jeden z miejscowych partyzantów Marek, przyniósł kawał mięsa, bochenek domowego chleba, wzięliśmy ziemniaki i gotowaliśmy posiłki. Rano była pobudka, potem modlitwa i śniadanie, w południe obiad, wieczorem kolacja. Tak wartowaliśmy tam trzy dni w ciągłym pogotowiu, ponieważ był spodziewany nalot UB na Komarówkę. Trzeciego dnia koło południa była mała widoczność, bo wiał silny wiatr, a wartownik melduje, że zbliża się uzbrojona grupa, może to być UB. Wybiegliśmy szybko z mieszkania, pozajmowaliśmy stanowiska bojowe. Łobejko Jan jest koło mnie i mówi, że trzeba strzelać, bo to pewnie UB i mogą nas okrążyć. Jest mała widoczność z powodu zawiei, polecam na razie zaczekać, bo trzeba rozpoznać. Gdy oni zbliżyli się, ja rozpoznaję, że jest to grupa chłopców z Brzozowego Kąta – na przedzie duży „Gulce”, a obok mały „Mikułka” Żelaznowski. Gdy przyszedli do nas, mówię do nich, że macie szczęście, że pierwszym był duży „Gulce”, bo miałem dać rozkaz ognia, a byłaby masakra, bo widoczność jest mała. Wieczorem przyszedł „Marny” i kazał się rozejść. Przyszliśmy wszyscy pieszo do Brzozowego Kąta, skąd saniami przyjechaliśmy do Radcza. W Radczu weszliśmy do znajomych na wieczorki. Tam byliśmy serdecznie przywitani, wszyscy czekali na nasz szczęśliwy powrót, zrobili nam gorący posiłek i wróciliśmy pieszo do domu. Tu czekała matka i siostra z niecierpliwością, bo nie wiedzieli, co mogło się wydarzyć. [Bitwa miała miejsce w niedzielę, kilkakrotnie słyszałem opowiadanie mieszkańców Komarówki. Otóż jednego z zabitych UB-owcy chcieli wciągnąć w ogień, a miał za pasem granat, lecz chłopcy tamtejsi idący z kościoła odciągnęli owego poległego. Aresztowali kilku chłopców idących z kościoła komarowskiego do Wólki twierdząc, że są z oddziału, tylko gdzieś porzucili broń. Po jakimś czasie zwolniono ich, powrócili do domu. Oddział operacyjny UB powracał przez Derewiczną. Przejeżdżając przez wieś mieli broń skierowaną na mieszkania w razie zaatakowania. A w jednym domu były dwie dziewczyny i w tym to czasie wyglądały ze swego domu przez okno na drogę. Otwarto do nich ogień z drogi, obie zginęły we własnym domu z rąk UB. Poległych partyzantów pochowano na cmentarzu w Komarówce. Podczas pogrzebu cmentarz dookoła był obstawiony przez partyzantów, będących na stanowiskach bojowych w razie ataku. Było spokojnie – przyp. x. Dzyr].

Dowódca rejonu „Rola” (Piotr Waszczuk z Gęsi) był bardzo wstrząśnięty tą porażką, zginęło czterech naszych dobrych żołnierzy. Zabronił nam poruszać się w ciągu dnia traktową drogą. Akcja ta nie była dobrze przygotowana. Do walki otwartej musi być duży za-

pas amunicji i to nie starej, źle przechowywanej, gdzie jest dużo niewypałów. W okresie zimowym w dzień zabronił robić zasadzki na otwartym polu, lecz w gęstym lesie, aby w razie porażki, nie mieli wrogowie pola widzenia w czasie naszego odwrotu.

W rejonie Włodawy po Parczew i dalsze okolice prowadził brawurowe akcje „Jastrząb”. We Włodawie rozbił więzienie i wypuścił więzionych chłopców z podziemia, a w Parczewie zaatakował na Żydów, którzy ocalawszy z Holokaustu objęli tam władzę, oznaczeni czerwonymi opaskami ścigali akowców. W Jabłoni na szosie napotkał oddział UB, rozbroił ich i zdobył dużo materiałów operacyjnych, które miały posłużyć do zlikwidowania partyzantów na naszym terenie z imiennymi wykazami. Zbliżała się wiosna 1947 r. Modne było wtedy hasło: *Zima wasza, wiosna nasza*. Ja, jako dowódca w naszym terenie, dostałem upoważnienie do podejmowania szybkiej decyzji w razie konieczności działania. W 1946 r. na Wielkanoc dostałem meldunek, że do pałacu w Jabłoni przyjechało UB, żeby zrobić wypad do aresztowania. Jabłońska placówka była za słaba, żeby przeciwdziałać. Było to koło północy i należało szybko działać, a w kwietniu noc nie jest już długa. Zebrałem kilku chłopaków: Franciszek Kozak, Jan Łobejko, Jan Kusiuk, Stanisław Kozak i ja. Szybko pojechaliśmy pod pałac, bo tam się zatrzymali. Szybko wyważyliśmy bramę. Gdy usłyszeli trzask wyważonej bramy, szybko zerwali się na nogi. Jeden strzelił i uciekł po schodach na piętro, drugi nie zdążył, poddał się. Wzięliśmy go na wóz i odstawiliśmy do dowódcy, aby on sam osądził go. Drugiego nie było czasu szukać, bo w pałacu było mnóstwo komnat i duży strych, a tu już świtało. W Jabłoni było dużo PPR-owców i ORMOWców, to nas poznaliby, należało uciekać do dnia. Ten, co strzelił, ranił mnie w lewe ramię, ale rana nie bardzo krwawiła, nie potrzeba było tak szybkiej pomocy.

Jeszcze przedtem wpadł do Dawidów Kawęcki, bo jego żona jeszcze uczyła dzieci. Szybko zebraliśmy się, ażeby zrobić zasadzkę i zlikwidować go. U Dzyra na ganku omawialiśmy plan zasadzki. Wacek miał z automatem za stodołą u Burca na poddaszu czekać, jak będzie wyjeżdżał z podwórka zaatakuj. We dwóch będziemy u Osipacza (zwanego Czerkas) w szopie, gdy się nam nie uda wtedy, gdy będzie wyjeżdżał na gościniec, a we dwóch będzie czekać u Kucyka w stodole, o ile by udało mu się wyjechać do wiejskiej ulicy. My tak ustaliśmy plan działania, a tu nadjeżdża samochód. Wacek złapał automat, żeby strzelać, a Zygmunt Dzyr złapał go za rękę i zatrzymał, samochód szybko pojechał. Dzyr był sołtysem i bał się represji, że u niego w dzień odbywa się bójka. Kawęcki zatrzymał się koło Jakubiuka Felka, Wacek pobiegł na wiatrak i tam z wiatraka otworzył ogień z automatu, uszkodził mu samochód, ale Kawęcki dojechał do Parczewa i tam nareperował i ta akcja była nieudana.

W Paszenkach był wielki działacz komunistyczny Konon. Ten wydawał w ręce UB naszych żołnierzy. Przyjechał goniec Wortalec z Puchowej Góry, że Konon jest w Paszenkach, żeby zrobić zasadzkę, gdy będzie wracał i wtedy go zaatakować. Szybko pojechaliśmy do Smugi na szos licząc, że tędy będzie wracał. Pojechał ze mną Franciszek Kozak, Stanisław Kozak i Józef Iwańczuk, lecz ten powrócił inną drogą.

W czerwcu 1946 r. planowany był atak na Radzyń., aby rozbić komunistyczne więzienie i odbić wiezionych chłopców. Dowódca rejonu: „Rola” i dowódca 8. rejonu „Marny”

zarządzili koncentrację w lesie planterskim, nazywanym Bór. Przyjechał goniec Zbyszek Deneka z Gęsi, żeby szybko się stawić. Zebrałem swoich żołnierzy. Stawili się Łobejko Jan, Chwalczuk Józef, Kozak Franciszek, Iwańczuk Józef, Kusiuk Jan. Szybko ze swoimi chłopakami udałem się do lasu na wspomniane miejsce. Zebrała się duża grupa żołnierzy, dostaliśmy puszki z konserwami, ponieważ akcja była planowana na dwa dni. Jedna grupa była wysłana na szosę Radzyń - Wisznice, aby zatrzymać samochód i samochodem zniecał podjechać i szybko zaatakować. Dowódcy zrobili narady, ustalili plan akcji, czekali na gońca z Radzyna, aby rozeznac jak wygląda sytuacja w Radzynie. Gdy przyjechał goniec, przywiózł złe wiadomości, że w Radzynie jest duży oddział KBW i UB. Więzienie ma grube mury, wszędzie stoi wzmocniona warta. Bramy są żelazne, potrzebne są silne materiały wybuchowe, bez nich trudno będzie wyburzyć żelazną bramę przy wielkiej liczbie KBW i UB. Trudno liczyć na powodzenie akcji. Dowódcy zrezygnowali z tej wyprawy, żeby nie stracić swoich ludzi skoro brak materiałów wybuchowych.

W takiej sytuacji podjęli decyzję udać się do Wohynia i zlikwidować posterunek MO. Posterunek tam był dość silny, więc wzięli najlepsze uzbrojenie i udali się na Wołyń. Nas zostawiono do czuwania, bo mogło nadjechać UB do pomocy z Włodawy, mieli przecież połączenie telefoniczne przez Radzyń. Akcja udała się, posterunek nie stawiał oporu, wieczorem powróciliśmy do domu.

Pomimo że lokalne posterunki były likwidowane, to władza komunistyczna wzmocniała posterunki UB w miastach powiatowych, jako w naszym terenie w Radzynie i Włodawie. Lato było dość spokojne, władza w terenie była nam poddana, PPR siedziała spokojnie, ORMO schowała głowy w piasek. W terenie chodziliśmy spokojnie, nie ukrywając broni. Po stracie kilku żołnierzy dowódca stale nam przypominał, żeby nie przejeżdżać w pojedynkę czy grupowo głównymi drogami w ciągu dnia.

We wrześniu 1946 r. przyjechał do mnie „Poldek” Leopold Kulicki z meldunkiem od dowódcy rejonu, żeby stawić się na odprawę. Przyjechał pod wieczór, zjedliśmy kolację i poszliśmy spać do Bieleckiego. Rana wstaliśmy, zjedliśmy śniadanie i odjeżdża. Pytam go którędy pojedzie do Radcza rowerem, mówi, że przez Rudzieniec, bo przez Wydryno jeżdżąc łąkami będzie trochę źle. Gdy przejechał Rudzieniec zobaczył, że nadjeżdża ciężarówka wyładowana funkcjonariuszami UB. Wtedy zaczął uciekać w pole, oni zaczęli strzelać. „Poldek” został ranny, ci dopadli go i dobili. I tak zginął jeden z najlepszych żołnierzy z oddziału lotnego. Byliśmy tym bardzo wstrząśnięci. W ciągu dnia w pojedynkę też z bronią nie mogliśmy poruszać się.

Na początku października przyjechał Robert Cyranka ze stałego oddziału oznajmiając, że dowódca chce, aby stawić się u niego w Radczu, będzie czekał w stodole u Kropiwca. Przenocował ze mną i rano odjechał rowerem do Radcza. Tam zaraz wpadło UB, wtedy on schował się do stodoły, a UB podpaliło stodołę. Gdy Cyranka uciekał, to go zabili. Była znowu bolesna strata. W naszym oddziale stałym zostało tylko 4. chłopaków. Radcze nie było już spokojną, kryjówką. W oddziale zostali: Władek, Wacek, Krajewski, drugi Wacek ze szramą.

Na początku października 1946 r. UB i KBW coraz częściej zaczęło czynić wypadki, likwidować podziemie. W Radczu po całej wsi szukali partyzantów. Kto należał do WiN lub był podejrzany, wszyscy siedzieli w ukryciu. Chłopcy dwa dni przebywali w ukryciu, żeby nie wpaść w ich ręce, groziło rozstrzelanie na miejscu, gdy schwytali z bronią, albo więzienie dla tych, którzy byli mniej groźni dla komunistycznej władzy. Moi chłopcy wszyscy uciekli do dalszych wiosek, bo spodziewany był nalot na Dawidy. A w tym samym czasie był duży nalot na Kolano. Przyjechała bardzo duża grupa KBW w sile około 100 ludzi i penetrowała wioskę, żeby uchwycić resztę partyzantów, bo tam i tak dużo zginęło. Kolano było na granicy naszego obwodu radzyńskiego i obwodu włodawskiego. We włodawskim obwodzie działał duży oddział lotny „Jastrzębia”. Wpadł do Kolana znienacka, rozbroił cały oddział KBW, rozmundurował i wszystkich puścił boso. Gdy „Jastrząb” ze swoim oddziałem odjechał, to dwóch wierzchem na koniach przyjechało do Radcza zameldować co zaszło. Wtedy oddział z Radcza wyruszył do Kolana wierzchem na koniach i przez łąki zbliżali się do Dawidów. Gdy przyjechali w to miejsce, gdzie zaczynała się droga na Ług, podjechali kawalek i zatrzymali się. Ja miałem pszenicę koło domu, nie mogłem z chłopakami uciekać, bo nie miałem kogoś, aby mnie zastąpił przy robocie w polu. Brałem „użyna” pod pachę i musiałem iść w pole, a gdyby mnie zaatakowali, zawsze miałem na uwadze, że będę się bronił. Zostawiam konia i mówię do sąsiada Macieja Łobejki, który okrywał kopiec z kartoflami za stodołą, aby przyjechał koniem do domu, ja muszę uciekać, bo jedzie UB, muszę się ukryć. Przyszedłem do stodoły i przyglądam się, co oni będą robić, czy będą jechać drogą do wsi. Oni postali chwilę, zawrócili się i pojechali do granicy pól dawidowskich i pojechali do gęsieńskiej drogi przez Lubno, Gęś, do Kolana. W Kolanie „Jastrzębia” z oddziałem nie było i razem z tam rozbrojonymi wyjechali. Wieczorem, gdy dowiedzieliśmy się o całym zajściu, to odetchnęliśmy, wstąpiła w nas nowa nadzieja. Wszyscy, którzy uciekli dalej, wrócili do Dawidów. „Jastrząb” był dla nas gwiazdą przewodnią, dodawał nam otuchy do przetrwania. Z oddziałem „Jastrzębia” mieliśmy stałe kontakty przez dowódcę rejonu Dębowa Kłoda Jana Gawrona ps. „Piast”.

Listopad i grudzień 1946 r. był dość spokojny. UB po tej porażce nie pokazywało się. Czekaliśmy wyborów do sejmu. Była nadzieja, że Mikołajczyk wygra wybory i będzie wolna i demokratyczna Polska. Młodzież schodziła się na wieczorki. Józef Kozak syn Mikołaja (Kapczuczyn) zorganizował w szkole przedstawienie Błazej Opętany. Ksiądz proboszcz Edward Kurdziałek założył organizację młodzieżową Caritas. Była to niezależna organizacja charytatywno-społeczna prowadzona przez Kościół, który miał jeszcze możliwość działania. Ja zostałem prezesem tej organizacji, Józef Milaniuk syn Jakuba skarbnikiem, a Leontyna Bielecka sekretarzem. Schodziliśmy się na zebrania, urządzali akademie, na Wigilię choinka, zabawy towarzyskie. Na drugi dzień Bożego Narodzenia 1946 r. Urządziliśmy zabawę towarzyską w szkole nad gościńcem, śpiewaliśmy kolędy i pieśni patriotyczne. Zaprosiliśmy Mostowca z Jabłonia, ażeby nam pograł na harmonii. Jeden czuwał na drodze czy nie nadjeżdża UB. Zauważył, że od Jabłonia zbliżają się światła samochodu. Wtedy nie było prywatnych samochodów. Każdy samochód wskazywał, że jedzie UB. Na sali powstał popłoch. Dziewczęta z piskiem zaczęły uciekać. My mieliśmy

broń w szopie koło szkoły – RKM i dwa automaty. Samochód szybko przejechał, nie zdążyliśmy nawet zająć stanowiska, wszyscy się rozsypali i impreza była skończona. Tak nie raz kończyły się zebrania rozrywkowe w czasach naszej młodości.

Raz wieczorem w styczniu 1947 r. były prządky u Mackiewiczki, obecnie na tej posesji mieszka rodzina Jaszczuków. Wpada jej matka i mówi, że pojechało UB. Młodzi chłopcy uciekli po schodach (drabinie) na górę, a stamtąd na wyszki w słomę, bo ich dom mieszkalny był złączony z oborą. My zaś szybko chwyciliśmy za broń i czekaliśmy w zasadzce, ale oni przejechali i więcej nie pokazywali się. Należało się mieć ciągle na baczności i ktoś z nas zawsze czuwał.

W noc sylwestrową 1946/47 zorganizowany był atak na więzienie w zamku w Radzynie. Były następujące oddziały:

- Rejon Borki pod dowództwem „Kuli” Antoniego Grochowskiego,
- Rejon Kąkolewnica pod dowództwem „Płomienia: Jana Grudzińskiego,
- Rejon Komarówka pod dowództwem „Roli” Piotra Waszczuka,
- Rejon Milanów pod dowództwem „Kruka” Jerzego Sokolińca.

„Kłos” główny przewodnik oddziału „Jastrzębia”, znajdował się w grupie „Kruka” jako jego zastępca. Atak miał nastąpić punktualnie o północy, lecz na skutek zamarznięcia silnika samochodu, którym miał przyjechać „Jastrząb”, atak opóźnił się o prawie 2 godziny. Podobnie było z samochodami jadącymi z obwodu radzyńskiego. „James” zebrał dowódców grup na narady. Ustalono działania dla każdej z grup. Przed walką należało zarygłować drągi dojazdowe do Radzyna na wypadek odsieczy UB i MO. Zadanie to przypadło oddziałowi z Komarówki pod dowództwem „Marnego” oraz Milanowa pod dowództwem „Roli”. Partyzanci z tych rejonów obsadzili drogi dojazdowe do Radzyna z czterech kierunków: Radzyń – Łuków, Radzyń – Międzyrzec, Radzyń – Kock – Lubartów oraz Radzyń – Parczew – Lublin.

Na naradzie „James” zwrócił się do dowódców grup z zapytaniem, który z obecnych będzie chciał atakować UB. Zaległa cisza. Po dłuższej chwili „Jastrząb”, widząc taki stan rzeczy, podniósł rękę i powiedział, że może on to uczynić. Rozdano pozostałe działania. Część ludzi „Kuli” miała opanować siedzibę poczty mieszczącą się w narożnym skrzydle pałacu w pobliżu fosy, a następnie zniszczyć centralę telefoniczną.

Grupa „Kruka” i „Płomienia” przyjęła na siebie obowiązek zdobycia budynku szkoły z załogą KBW lub przynajmniej zamurowania go ogniem broni maszynowej na czas oblężenia budynków UB i MO. Część grupy „Jastrzębia” przeszła przez dziedziniec kościoła i zajęła pozycje strzeleckie w bramie głównej oraz w furcie wejściowej oddzielonej od tej bramy jedynie grubym słupem nośnym. Grupie tej przewodził „Żelazny” uzbrojony w swoją ulubioną i niezawodną „sukę”. Sam „Jastrząb” wraz ze swoim minerem „Sokołem” oraz kilkoma partyzantami przemknął obok dziedzińca kościoła na tyły ogrodzenia Urzędu Bezpieczeństwa. Ich zadaniem było zainstalowanie ładunku wybuchowego w upatrzonym miejscu muru. Do akcji mieli oni przystąpić dopiero w kulminacyjnym momencie wymiany ognia. W tej pierwszej fazie ataku cały ogień obrońców budynku UB, a także siedziby MO miał się skupić niczym na dwóch tarczach strzeleckich, na ziejącej ogniem

bramie głównej dziedzińca kościelnego oraz przyległej doń wąskiej furcie. „Jastrząb” ze swoją grupą przedostał się do budynku UB, aby podłożyć minę 3 kg. Mina nie przebiła muru, ponowili próbę założenia drugiej miny 9 kg, która z niewiadomych przyczyn nie wybuchła. Po dłuższej wymianie ognia nie było warunków do zdobycia budynku UB. Ponieważ świt się zbliżał, trzeba było zaniechać dalszej walki, która trwała 2 godz. Na szczęście nie było żadnych strat, nawet nikt nie został ranny. Grupa „Jastrzębia” wycofała się na Siemień a reszta grup powróciła do domów.

Zbliżały się wybory do sejmu wyznaczone na 19 stycznia 1947 r. W styczniu zaczęła się agitacja KRN, która była od 1944 r. najwyższym organem ustawodawczym, tymczasowym parlamentem komunistycznym. Jej przedstawiciele jeździli po wsiach, zwoływali zebrania i namawiali do głosowania na listę, która miała kartkę z nr 1 (Lista Mikołajczyka, czyli Rządu Londyńskiego, miała kartkę z nr 2). Na owych zebraniach wygłaszali pogadanki o dobrodziejstwach socjalizmu, że komunistyczna władza ludowa stworzy wielki dobrobyt z pomocą Związku Radzieckiego dla klasy robotniczej, że skończył się wyzysk przez burżuazję i finansjerę, że wszyscy będą żyć dostatnio. Agitowano też, że Mikołajczyk jest wysłannikiem przedwojennej burżuazji i przemysłowców, których przedsiębiorstwa zostały znacjonalizowane w 1946 r., że w takiej sytuacji powróci wyzysk klasy robotniczej przez posiadaczy ziemskich i finansjerę. Należy głosować na listę nr 1. Po wystąpieniu owego prelegenta była dyskusja. Malo ludzi zabierało głos w dyskusji. Ja raz zabrałem głos i zapytałem dlaczego socjalistyczna władza ludowa potępia Piłsudskiego, on był pierwszym założycielem PPS, siedział w carskim więzieniu, a dziś socjalizm potępia go. Jeden zaczął tłumaczyć, że Piłsudski zdradził klasę robotniczą, poszedł za finansjerą. Drugi zaś podszedł do mnie, poklepał mnie po ramieniu i mówi, żeby takiego głosu nie zabierać, bo można z nim pojechać.

Przed wyborami UB nie wpadało w celu aresztowania podejrzanych, można było w domu spać spokojnie, nawet dowódca rejonu „Rola” pokazał się publicznie, lecz szpicle obserwowali go. Przebywał często w Gęsi u Grzegorza Jaszczuka. Któryś ze szpiclów obserwował go i zawiadomił UB, gdzie można go ujrzyć w nocy. W styczniu 1947 r. przyjechało UB, otoczyło dom Jaszczuka i tak Piotr Waszczuk został aresztowany i osadzony w prowizorycznym więzieniu w Ostrowie Lubelskim. Tam zamieniono szkołę na więzienie dla zaaresztowanych żołnierzy WiN, jak również dla tych, którzy z tym podziemiem współpracowali. Był tam też sąd polowy w trybie doraźnym. Taki komunistyczny sąd odbył się nad naszym dowódcą rejonu porucznikiem Piotrem Waszczukiem „Rola”. Został skazany na karę śmierci. Przed egzekucją prosił, aby mógł być u spowiedzi i Komunii świętej. Dwóch ubowców zaprowadziło go do kościoła w Ostrowie. Obserwował obojętnie przykościelne, czy nie można byłoby gdzieś uciec, pytał o to księdza z okazji spowiedzi, ale ci dwaj UB stale nie odstępowali od niego tak, że nie było możliwości ucieczki w kościele. Z kościoła przyprowadzili go na noc w poprzednie miejsce, ręce do tyłu związali mu sznurkiem. Było ich dwóch w tej celi związanych, oczekiwali na egzekucję rano. W nocy przysuwali się do siebie i próbowali sobie wzajemnie rozwiązać ręce. Gdy pierwszy miał rozwiązane ręce, z drugim nie było kłopotu, obaj mieli ręce wolne. Cela była na

pierwszym pięttrze, był długi korytarz, a jego cela była blisko klatki schodowej. Korytarzem chodził wartownik, cela nie była zamykana na klucz, lecz na skobel zatykany przetyczką. W drzwiach było okienko tzw. judaszek. Przez te okienko można było dostać ręką i wyciągnąć przetyczkę. W szkole nie było wówczas toalety, wartownik wyprowadzał do ustępu na dworze. Brama nie była zasuwana, ponieważ często trzeba było wyprowadzać do ustępu. Waszczuk uprzednio zawsze obserwował, gdzie jest dziura w płocie, gdyby była możliwość ucieczki. Gdy Waszczuk miał już w celi wolne ręce i nogi, stał przy drzwiach i obserwował, kiedy wartownik odejdzie w drugi koniec korytarza. Gdy wartownik był już w tym drugim końcu korytarza, Waszczuk wyciągnął przez okienko przetyczkę, wyskoczył na korytarz na schody i szybko skoczył na ziemię, otworzył bramy i był na dworze. Przez dziurę w płocie wysunął się i bosy, w kalesonach uciekł w pole. Wartownik wybiegł, strzelił, ale w nocy nie było celu. Gdy przybiegł do wioski, poprosił o ubranie i buty i tak wolny dostał się do swoich.

Aresztowanie dowódcy było dla nas wielkim ciosem, załamaliśmy się mocno na duchu, bliskie były wybory, władza ciągle ogłaszała, że wybory będą demokratyczne, jak było ustalone na konferencji wielkich mocarstw w Jałcie i Poczdamie. Wiadome było, że społeczeństwo będzie głosowało na listę nr 2. Mikołajczyka, oby tylko tych wyborów nie sfalszowali. Gdy spotkaliśmy się z „Rola” i dyskutowaliśmy na te tematy polityczne, on zawsze liczył na to, że po wyborach Polska będzie wolna i demokratyczna.

W dniu wyborów rano zrobiliśmy wywiad jakże to wybory przebiegają. Zaraz okazało się, że wybory nie są wolne i demokratyczne. Ludzie podejrzani o to, że nie będą głosować na listę rządową nr 1, zostali z listy skreśleni (pozbawieni prawa głosu). My wszyscy należący do WiN i sympatyzujący z nami nie mogliśmy głosować. Ponadto nie dopuszczono do Komisji Wyborczej męża zaufania z PSL-u Mikołajczyka. Nie było dowódcy, nie wiedzieliśmy, jakie mamy zająć stanowisko w tej sprawie. Zastępcą dowódcy rejonu był Tadeusz Podhorecki „Gaj”. Pojechaliśmy z Józefem Kuniszkiem do Boru, żeby się z nim skontaktować. U Leona Gryszy pod lasem było nasze radio, on tam często przebywał i tam mieliśmy z nim spotkanie. Zastaliśmy go w domu u Gryszy, jak odbierał komunikaty z zagranicy. Zachód w komunikatach podawał, że wybory muszą być wolne i demokratyczne, jeżeli wybory będą sfalszowane, to rząd Polski nie będzie uznawany przez zagranicę. Tam, gdzie były urny wyborcze, wszędzie było pełno KBW. Nie mieliśmy żadnych szans, aby zadziałać, aby tych wyborów nie sfalszowali. Z Podhoreckim ustaliliśmy, że będziemy czekać na wyniki wyborów, potem zajmiemy swoje stanowisko. Pod wieczór przyjechaliśmy do domu i tutaj spotkała nas miła niespodzianka. Oto przychodzi sąsiadka Anna Kuniszyk i mówi, że u niej jest Piotr Waszczuk. Był on jej kuzynem i do niej najpierw po ucieczce się zgłosił, ponieważ były w domu ich dwie kobiety wdowy, więc nie było podejrzania, że on chce się ze mną zobaczyć. Poszedłem szybko, aby się spotkać. Jaka była wielka radość, że znowu mamy swego kochanego dowódcę. Ze łzami w oczach opowiadał nam o swoich bolesnych przeżyciach, że to cud Boży, iż udało mu się uciec. Ustaliliśmy, że musi odpocząć po takich przeżyciach, żeby na razie nawet swoim się nie

pokazywał, aby znowu nie wyszedł ktoś, gdzie on teraz przebywa, a my będziemy czuwać, gdyby UB nadjeżdżało.

Głósów w Jabłoniu nikt nie liczył, tylko powieźli urny do Radzyna rzekomo tam do przeliczenia. W lesie głosy zostały spalone, a wrzucili tam swoje, tak potem wydali konwojenci. Władza komunistyczna w ten sposób ogłosiła swoje zwycięstwo. Komuniści podnieśli głowy do góry. Wszędzie rozklejano plakaty, że władza ludowa zwyciężyła w wyborach. W naszych szeregach nastąpiło załamanie na duchu. Nasz dowódca Waszczuk nigdzie się nie pokazywał, nie wydawał żadnych rozkazów, ani poleceń. Czekaliśmy z niecierpliwością, jaki będzie bieg wydarzeń, czytaliśmy gazety i słuchali komunikatów radiowych z zagranicy. Nasza gazetka, „Reduta” pocieszała nas, że państwa zachodnie nie uznają tego rządu polskiego, ponieważ wybory były sfałszowane. PSL otrzymało niewielki procent mandatów poselskich. Do tego nastąpił jeszcze rozłam w ruchu ludowym. Lewe skrzydło odłamało się i stworzyło frakcję Stronnictwo Ludowe. Mikołajczyk nie miał żadnych szans na politykę rządu. Nadzieja na obalenie władzy komunistycznej prawie zgasła, liczyliśmy tylko, że może nastąpi konflikt zbrojny, że zmierzą się siły komunistyczne z wolnym światem, ale nasze siły zbrojne na zachodzie rozwiązano i trzeba było wybrać powrót do kraju (właściwie do więzienia) lub szukać miejsca w świecie zachodnim.

W lutym 1947 r. rząd komunistyczny ogłosił po tych „wyborach” amnestię: należy złożyć broń, ujawnić się, będzie wszystko darowane. Byliśmy w trudnej sytuacji nie wiedząc jaką mamy podjąć decyzję. Skontaktowaliśmy się z dowódcą Waszczukiem z zapytaniem, jakie da nam polecenie. On nam powiedział, że dezercerzy muszą się ujawnić, bo jak schwytają, to rozstrzelają, a za przynależność do WiN na razie nie ma nakazu od głównej komendy WiN, ażeby się ujawniać i zostawił nam wolną rękę – róbcie jak uważacie, zadecydujcie sami. My mieliśmy kontakt z oddziałem „Żelaznego” i porozumieliśmy się z nim. Oni nie mieli rozkazu, żeby wszyscy się ujawniali, jak kto uważał, dowódca siłą nie zostawiał ich w oddziale. W takiej sytuacji kto chciał, to się ujawnił, ale duża część została w oddziale.

My zebraliśmy się wszyscy na narady, żeby w tej sprawie podjąć decyzję. Ja powiedziałem swoim chłopakom, że niech każdy decyduje za siebie, ja się ujawniam z dezercji, ale nie ujawniam się jeszcze z przynależności do podziemia, bo oddział „Żelaznego” jeszcze się nie ujawnia i nie składa broni, ponieważ nie ma jeszcze wolnej Polski. Taką decyzję podjęli wszyscy – idziemy razem z tobą.

Pod koniec marca 1947 r. UB przyjechało do Komarówki i tam w Urzędzie Gminy otworzyli wydział do ujawniania się. Pod koniec marca wszyscy ujawnili się w Komarówce z dezercji wojskowej, żaden nie przyznał się, że przynależał do WiN i broni nikt nie zdał.

W ostatnich dniach kwietnia postanowił ujawnić się dowódca rejonu Piotr Waszczuk „Rola”. Oznajmił wszystkim swoim podkomendnym, że ujawnia się i zdaje broń. Swoją decyzję przekazał mi i polecił, żeby oddać broń do jego dyspozycji, jak się nie ujawniamy. Postawił nas w trudnej sytuacji, przecież broń jest nam potrzebna, jeśli nie ujawniamy się. Podjąłem połowiczną decyzję. Zrobiliśmy przegląd broni i zdecydowali, że gorsze, stare kabeki, uszkodzony automat PPSza i dwa steny oddamy do dyspozycji do-

wódcy, reszty zostawiamy do własnej obrony, jeżeli zajdzie potrzeba. Tak skończyła działalność konspiracyjna drugiego rejonu AK, potem przeorganizowana w WiN.

Zostaliśmy jako samodzielna grupa, niepodległa żadnym odgórnym rozkazom. Ostatnią prasę konspiracyjną otrzymałem w czasie amnestii, później do nas „Reduta” nie dotarła. Teraz należało kierować się rozważą i być bardzo ostrożnym, żeby się nie zdekonspirować. Władza komunistyczna podtwarzała posterunki MO, które zostały przez nas zlikwidowane. Rozbudowali także komórki ORMÓ, werbowali swoich agentów, współpracowników i donosicieli. Organizowali po wioskach podstawowe organizacje partyjne. Początkowo był to okres oczekiwania, cisza przed burzą. Skontaktowałem się z kolegami z rejonu ósmego, gdzie dowódcą był Stelmaszuk. Najwięcej kontaktów mieliśmy z placówką Brzozowy Kąt i Wiski. Tamtejsi chłopcy ujawnili się. W Brzozowym Kącie najczęściej spotykałem się ze Stanisławem Żelazowskim. Doszliśmy do wniosku, że nie ma co się porywać, kiedy na razie nie zaczepiają nas. Rok 1947 był dosyć spokojny, nikogo nie wzywali na przesłuchania. Młodzież urządziła majówki w lesie lub w remizach, gdzie była Ochotnicza Straż Pożarna. U nas w Dawidach młodzież urządziła potańcówki pod gołym niebem, ponieważ nie było dotąd remizy strażackiej, a szkoła spaliła się 15 maja 1947 r. Zimą zbierała się młodzież w moim mieszkaniu, jak impreza była organizowana przez Caritas. Byłem wtedy prezesem tej organizacji. Ale taki spokój mieliśmy tylko przez zimę. Jeszcze 1946/47 r. została powołana do życia Spółdzielnia, której działalność została zawieszona w czasie wojny. Zrobiliśmy wiejskie zebranie, na którym został wybrany nowy zarząd. Ja zostałem wybrany na prezesa, sekretarzem i księgowym był Dzyr Marian, skarbnikiem Matczuk Stanisław syn Piotra, przewodniczącym rady nadzorczej Jan Zebrowski, kierownik szkoły. Otworzyliśmy sklep spółdzielczy u Mostowca Aleksandra. Sklepowym był Józef Iwańczuk. Spółdzielnia nosiła swoją przedwojenną nazwę, gdy mieściła się w domu Bieleckiego Ludwika – Chrześcijańska Spółdzielnia Rolniczo Spożywcza „Przyszłość” w Dawidach z odpowiedzialnością udziałami. Werbowaliśmy nowych członków, żeby zdobyć fundusze, ponieważ nie było czym handlować. Z przedwojennego kapitału mało co pozostało, ponieważ była kilka razy w czasie okupacji obrabowana przez ruskie bandy w 1942 r. i działalność została zawieszona. Na towar trzeba było pieniądze stale pożyczać i po kilku dniach oddawać, potem znowu zaciągać kilkudniowe kredyty i tak handlowało się. Sprawiało to dużo kłopotów, ale Spółdzielnia rozwijała się i kapitał rósł.

W 1948 r. komuniści zaczęli likwidować małe spółdzielnie, a tworzyć Gminne Spółdzielnie „Samopomoc Chłopska”. Pod odgórnym naciskiem na nadzwyczajnych walnych zebraniach członkowie musieli zgodzić się na połączenie spółdzielni w Gminne Spółdzielnie i tak skończyła swój żywot nasza Spółdzielnia w Dawidach. Pomimo tak krótkiego czasu, wnieśliśmy do Jabłońskiej Spółdzielni (która funkcjonowała przez całą wojnę) największy wkład z całej gminy Jabłoń do GS-u.